



Nr 1 (11) 2016

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK

ŚLĄSK-ZDRÓJ

CHOJECKA / CIURLOK / EICHENDORFF / KOZINA
PAŁYGA / RUNGE / SŁAWEK / WANIEK I INNI



***Most przez czas* to wydany w pięknej oprawie graficznej zbiór listów napisanych do naszych dalekich potomków, których nigdy nie poznamy.**

Autorzy tej niecodziennej książki pochodzą z różnych części Polski. Są wśród nich pisarze, poeci, dziennikarze, ale też osoby spoza kręgu literackiego: polityk, kwiaciarka, przedsiębiorca, więzień i wielu innych. W listach opowiedzieli o własnych pomysłach na życie, o wyznawanych zasadach i wartościach, o marzeniach. Przekazali takie informacje i wiedzę, jaką być może sami pragnęliby otrzymać od dalekich przodków. Ważne sprawy w nich poruszone dotyczą jednak bardziej nas niż naszych potomnych. Nie mamy pojęcia, czy i jacy oni będą, czy w ogóle zainteresują ich rozmyślania dawno zmarłych prapradziadków i czy ta książka kiedykolwiek trafi w ich ręce...

Most przez czas, którego budulcem są piękne, wartościowe i niecodzienne teksty, to pomysł na wartościową lekturę przede wszystkim dla ludzi żyjących teraz. Rysuje wyjątkowy obraz współczesnej codzienności, zarówno z jej najprostszymi, wydawać by się mogło najbardziej trywialnymi problemami, jak i tymi, nad którymi trudna debata trwa od lat.

Książka została wydana w Katowicach, zatem siłą rzeczy kilka listów dotyczy Śląska, a jeden jest nawet napisany po śląsku. Prawdopodobnie to jedyna taka publikacja na świecie.

Format A5, 212 stron. Cena **34,90 zł**

Informacje i zamówienia:



WYDAWNICTWO STAPIS

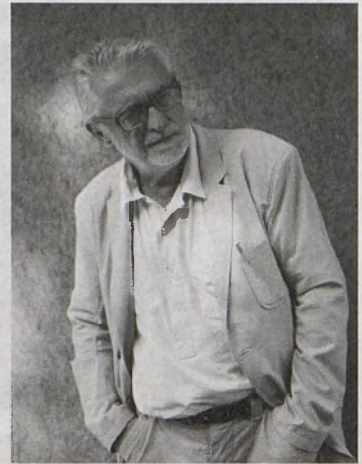
www.stapis.com.pl

biuro@stapis.com.pl

tel. 32 259 75 74

Most przez czas. Listy do praprawnuka

Czy Górny Śląsk
jest aż tak zielony,
jak na naszej okładce?
W wielu miejscach!
I to nie tylko na ziemi
rybnickiej.



Fabryka Silesia
KWARTALNIK

Nr 1 (11) 2016

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19
Tel.: (32) 201-77-74
E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl
Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Adam Meroń (ameron@fabrykasilesia.pl),
Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl),

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,
Ingmar Villquist

Projekt i opracowanie graficzne:

Andrzej Pasternski

Realizacja poligraficzna:

LALENDE Jolanta Budzyńska

Na okładce:

Zdjęcie przedstawia ziemię rybnicką.
Autor: Łukasz Kohut

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym
(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego
kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,
RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)

Wydawca:

Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach
(www.rok.katowice.pl)

Dyrektor Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63



Rybnik. Miasto z ikrą.

Wydano z finansowym wsparciem
Samorządu Miasta Rybnika

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

W materiałach przyjętych do druku, także fotograficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.

Nakład: 1300 egz.

Wiemy, stereotyp jest inny. Duże zatłoczone miasta, zdegradowane przez przemysł, zapylone i odhumanizowane. A przecież bywa inaczej. Jakie siły nas do tych miast przyciągają, a jakie – mimo wszystko – z nich wyrzucają? Piszą o tym profesorowie Tadeusz Sławek i Jerzy Runge, a przyrodnicze konteksty omawia dr Jerzy Parusel.

To ziemia paradoksów i zaskakujących osobliwości, jakich nie spotkamy w wielu innych regionach, uchodzących za bardziej przyjazne ludziom i naturze. Przekonywali się o tym podróżnicy i odkrywcy nowych lądów jeszcze w głębokim XIX wieku. Już wtedy po ozdrowieńcze źródła, solanki, termy, sążnie i lecznicze kąpiele nie trzeba było jeździć do Baden-Baden czy Karlsbadu.

A przecież przywołujemy tylko niektóre miejsca.

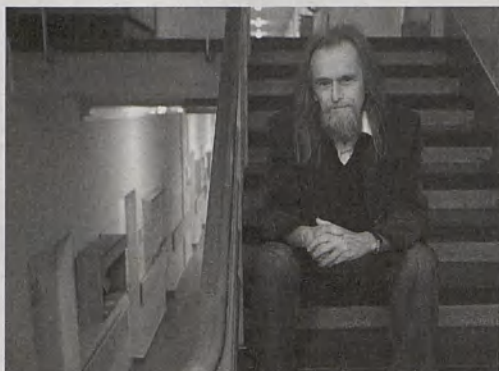
Podwyższonej jakości życia najpierw szukali moi tego świata, uciekając w bajeczne rewiry swych ogrodów. Niebawem trzeba było też pomyśleć o rosnących w siłę proletariuszach, którzy właśnie porzucili rolę i sielską wieś. Dziś owe stuletnie osiedla robotnicze warto rewitalizować, a zabytkowym kompleksom architektonicznym – jak rybnicki Juliusz – nadawać nowe funkcje. Przecież nie wszystkim z nas uda się uciec w Beskidy, które – a to nas trochę oburza! – też zbyt rzadko są ze Śląskiem utożsamiane.

Krzysztof Karwat

redaktor naczelny

4 | TADEUSZ SŁAWEK

Miasto miejsc szczęśliwych



W mieście szukamy sensu i znaczenia naszego bycia w świecie. Jest ono strukturą, jaką nadaję swojemu życiu mieszkańcy.

10 | JERZY RUNGE

Uciekamy i znikamy



W roku 1991 zaludnienie osiągnęło maksimum, a już dwa lata później saldo migracji przyjęło wielkość ujemną, zaś w 1996 roku po raz pierwszy odnotowano ubytek naturalny.

15 |

Hały to nasz klejnot



Z Jerzym Paruselem rozmawia Waldemar Szymczyk.

21 | MARCIN ZASADA

Dla zdrowia, nie dla rozpusty

George Gladstone wiele uwagi poświęcił śląskim krajobrazom w okolicy Jastrzębia, ze szczególnym uwzględnieniem hodowlanej i dzikiej zwierzyny.

26 | JERZY CIURLOK

Nasza aqua vitae

Śląskie źródło o nadzwyczajnej mocy leczniczej znano co najmniej od średniowiecza.

31 | IRMA KOZINA

Pamiętajmy o ogrodach



Idylliczny krajobraz górnośląski zmienił się radykalnie wraz z rozpoczęciem wspieranej przez państwo pruskie industrializacji.

36 | ALEKSANDER USZOK

Pod baldachimem nieba



Śród dziesiątków wybudowanych przed ponad stu laty osiedli robotniczych dziś większość popadła w ruinę.

41 | KAROLINA POSPISZIL

Rybnickie odrodzenia

Rybnik w dwudziestolecie międzywojennym, w czasie gdy był już ważnym ośrodkiem przemysłowym, zdobył tytuł „miasta kwiatów i ogrodów”.

47 | JÓZEF KRZYK

Drugie życie Juliusza



Najważniejszy budynek, czyli Juliusz (nazywa się tak samo jak cały kompleks), ma zostać przebudowany tak, by służyć celom kulturalnym.

52 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Chrząszcz (jak) wiersz



Nigdy doktor Julius Roger nie żałował, że przyjechał na Górny Śląsk, na krawędź Europy i przewidywalnego świata.

57 | KRZYSZTOF KARWAT

Godula albo Diabeł z Rudy

dramat w dwóch częściach (fragmenty)

63 | MARCIN WIATR

W krainie zielonej aż do łez

Eichendorff zbierał ludowe porzekadła i baśnie w obu językach. Jego syn Hermann wspominał, że śląski stał się dla ojca drugim językiem ojczystym.

68 | JOSEPH VON EICHENDORFF

Wiersze

Przekład: ks. Jerzy Szymik

71 | HENRYK WANIEK

W Gaju jak w raju



Do tego Háj-u-Gaju najlepiej byłoby przyjechać jednym z tych niewielkich pociągów, w których specjalizują się Czesi.

77 | ARTUR PAŁYGA

Góry rodzinne

Patrzę na te psie góry wyjące halnym wiatrem i nareszcie czuję, że tu jest inaczej.

81 | GRAŻYNA KUŹNIK

Z uśmiechu Boga

Gustaw Morcinek pewnie by się zdziwił, gdyby wiedział, ilu ludzi w XXI wieku stracił chęć do życia w miastach i poszukał jej w beskidzkich wsiach.

86 | EWA CHOJECKA

Między miastem a wsią

Zamek w Wiśle był integralnie włączony w rozległy program odkrywania kultury góralskiej Beskidu Śląskiego.

90 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Jak Kanada

Nie ma znaczenia szczerzenie śląskiej zieloności, bo górnośląska źródłowość i zdrojowość ma ustawicznie świeżo zielony kolor paproci.

92 | KRZYSZTOF KARWAT

Nie było nas, był las?

Czy ktoś z tych drzew pamięta Franza Wincklera, zakładającego na skraju podbytomskich Miechowic pierwszy na Górnym Śląsku publiczny park?

94 | INGMAR VILLQIST

Czarne i zielone

Mówi się, że im bardziej poraniona ziemia, przeorana historia, tym piękniejsza zielenią ją pokrywa.

96 | KSIĄŻKI

Nadesłane i wypatrzone

„Jednak dziedzictwo
zniszczonego miasta
nie przepadło.
Trwa, wbrew domysłom,
nie na peryferiach,
lecz w samym centrum
naszego życia...”

(Michał Ajvaz, *Miasto*, przeł. Leszek Engelking)

Miasto miejsc szczęśliwych

1.

Zacznijmy od pewnej przestrogi. Formuluje ją Max Frisch w niezasłużenie zapomnianej powieści *Stiller*. Bohater przypatruje się zasobnym szwajcarskim miastom, konkludując: „(...) interesuje mnie wyłącznie pytanie, w jaki sposób budowniczy miast szwajcarskich w ogóle odważa się patrzeć w przyszłość, żyjąc wśród narodu, który właściwie, tak mi się przynajmniej zdaje, nie chce przyszłości, lecz przeszłości”. Dwie rzeczy zwracają uwagę w tym ostrzeżeniu. Po pierwsze, miasto, miejsce człowiekowi nowoczesnemu z konieczności cywilizacyjnego rozwoju najbliższe, jest wynikiem długiej historii, w której działały siły znacznie większe niż te, którymi dysponują sami mieszkańcy miasta. Miasto to efekt dziejów narodu, mówi Frisch, a zatem znacznie przekracza skalę miejskiej lokalności. Po drugie, a wniosek to paradoksalny, aby przezwyciężyć grawitację przeszłości i przetrwać, miasto musi zwrócić się ku przyszłości, inaczej stanie się beładnym składowiskiem artefaktów przeszłości. W obecnym stanie świata zadanie to staje się palące: to samorządność i obywatelskość miast i dzielnic mogą i powinny stać się przeciwwagą dla coraz bardziej nacjonalistyczno-nostalgicznej polityki państwowej prowadzonej w imię „narodu”. Dlatego tak martwią odbywające się ulicami miast pochody spod znaku Polski dla Polaków. Są przeciwieństwem ducha miejskości, który zawsze żywił się różnorodnością. Miasto ze swej natury jest heterogeniczne.

2.

Naszą troską staje się więc namysł i praca nad przyszłością. Zakłada to przede wszystkim odejście od powierzchownego rozumienia przyszłości jako obszaru, w którym rzeczy dzieją się jakby pomimo nas, na zasadzie „jakoś będzie”. Musimy rozstać się z przekonaniem, że przyszłość to coś zgoła oczywistego; przecież czas biegnie, i choć w którymś momencie wyeliminuje nas jako obserwatora i uczestnika zmian, jednak świat będzie trwał nadal. Żyjąc w przeświadczeniu, że „jakoś to będzie”, przyjmujemy postawę bierności, powierzając zadanie nadania kształtu owemu „jakoś” stosownym instytucjom. Przyszłość tak pojęta oczywiście obejmie nas, ale nie będzie „nasza”. To przyszłość „standardowa” (w całej biurokratyczno-kontrolno-zrównującej wieloznaczności tego pojęcia). To przyszłość przewidywalna i planowana, bez której żadne społeczeństwo obejść się nie może. Przyszłość, która na swój sposób i w pewnym stopniu ubezwłasnowolnia i ucisza jednostkę. Tak jak plan zagospodarowania przestrzennego kontroluje, ale i paraliżuje, zabudowę miejsca, tak przyszłość powierzona wyłącznie administracji będzie przyszłością powielającą to, co było. Rozwinięte społeczeństwa nie mogą się bez niej obejść, ale nie mogą powierzyć tej strefie swej przyszłości. Jeśli tak się stanie, przyszłość będzie jedynie mutacją przeszłości. Zamiast *dawać do myślenia*, będzie jedynie *przymusem przypominania*. Znakiem czasu jest to, że nostalgiczno-kiczowata *Parada ulanów* Wojciecha Kossaka zastąpiła na ścianach Pałacu Prezydenckiego niepokojące i wieloznaczne obrazy Jerzego Nowosielskiego.

3.

Rzecz jasna nikt nie zdejmie z instytucji administracyjnych obowiązku zarządzania miejscem i wizją jego przyszłego wyglądu. Trzeba jednak rozumieć przyszłość głębiej, aby mogła to być przyszłość niebędąca jedynie sumą monotonicznie powtarzających się wzorów (by przywołać do znudzenia powielane projekty centrów handlowych, umiejscawianych coraz bardziej sztampowo wszędzie w tych samych lokalizacjach, na przykład w okolicach dworca kolejowego), lecz by dopuszczała możliwie największą liczbę wariantów. Pytanie o przyszłość ma w istocie sens o tyle, o ile jestem nie przedmiotem, ale tworzącym podmiotem tejże przyszłości. Nie podlegam jedynie biernie werdyktom i decyzjom zapadającym wobec mnie, ale kreuję przynajmniej jakiś fragment tych decyzji. To przyszłość podlegająca nie zasadzie powtórzenia, lecz kształtowana przez dwa procesy: jeden to możliwość stałego wytyczania nowych pomysłów i idei zmieniających kształt przestrzeni życia (nawet jeśli miałyby mieć charakter dalekosiężny i utopistyczny), drugi natomiast polega na nieustannej krytycznej refleksji nad zastanym stanem rzeczy, aby nie pozwolić mu skostnieć, a tym samym zezwolić, by stał się jedynym powszechnie akceptowalnym dla wszystkich modelem życia. Miasto jako przestrzeń życia, podkreślmy – życia, a nie jedynie zabiegów administracyjno-zarządczych, musi być adogmatyczne, to znaczy wciąż badające się na nowo i odmieniające swój kształt. Ożywiającym je nurtem jest swoista *towarzyskość*, bowiem obywatelski żywioł miasta polega na tym, że dostarcza ono miejsc, w których ludzie mogą w sposób dobrowolny stowarzyszać się, gromadzić i organizować. Dlatego tak martwi, że najpiękniejszy plac Katowic, plac Sejmu Śląskiego, został obrócony w beładny parking, wysyłając ostrzegawczy sygnał: to pozbawione zdolności myślenia i organizowania się, a zatem dyspozycji do *towarzyskości*, przedmioty winny stać się w opinii władzy głównymi dysponentami przestrzeni.

4.

Miasto to szczególna kompozycja. Składa się na nią fizyczna materia architektoniczno-urbanistyczna, ale także niewidoczna sieć administracyjno-prawnych przepisów, i wreszcie tkanka działalności techniczno-wytwórczo-ekonomicznej. Każda z nich ma ogromne znaczenie dla miasta, ale przede wszystkim musimy pamiętać, że miasto umiejscawia nasze życie. Mówiąc najprościej, w mieście szukamy sensu i znaczenia naszego bycia w świecie. Jest ono strukturą, jaką nadają swojemu życiu mieszkańcy. Akt zamieszkiwania zlokalizowany jest w punkcie splątania się wszystkich tych nici. Dlatego najważniejszym zadaniem władzy miejskiej dzisiaj jest staranne zorganizowanie procesu komunikowania się z wszystkimi aktorami miejskiej sceny. Miasto to rozmowa na temat jego kształtu, gdyż kiedy miasto przestaje *namyslać się* nad sobą i *wymyslać się* na nowo, staje się chaotyczne w swej rutynie. Obrona miasta jako rozmowy prowadzącej do współdecydowania o jego postaci jest dzisiaj obroną miasta przed zniszczeniem i podstawową formą naszej troski o przyszłość. Stąd waga takich inicjatyw, jak budżet obywatelski, czy wszelkich inicjatyw podejmowanych przez formalne lub nieformalne struktury dzielnicowe, uliczne, wspólnoty mieszkaniowe etc. Miasto – jak pisała Ewa Bieńkowska – to „warsztat wyobraźni” mieszkańców.

5.

Powtórzmy, miasto to umiejscowienie naszego jednorazowego i niepowtarzalnego życia, a co za tym idzie – nie może nam być obojętne. Mieszkańcy jako współgospodarze miejskiej przestrzeni będą w znacznie większym stopniu gospodarzami własnego życia, to zaś przełoży się na poczucie sensu i życiowej satysfakcji. Zakłada to, że zarządzający miastem potrafią komunikować swoje plany i zamierzenia w ten sposób, aby znalazło się w nich miejsce dla inicjatyw stowarzyszeń, organizacji i jednostek angażujących się w kształtowanie przestrzeni publicznej, oraz aby wielkoskalowe zamierzenia władz powstawały wraz z głosami i opiniami obywateli. Miasto powstaje w wyniku wzajemnej wrażliwości: władza musi okazać wrażliwość na potrzeby i sugestie mieszkańców, gdyż to oni tworzą tkankę miasta; to mieszkańcy budują atmosferę miasta poprzez swoją pracę, rozrywkę i *chęć zamieszkiwania w nim*. Aby ocalić miasto, musimy przede wszystkim *chcieć* w nim mieszkać. Ale ta *chęć* winna być po stronie obywatela spleciona z wrażliwością na przestrzeń, w której zamieszkuje, i odpowiedzialnością za jej kształt.

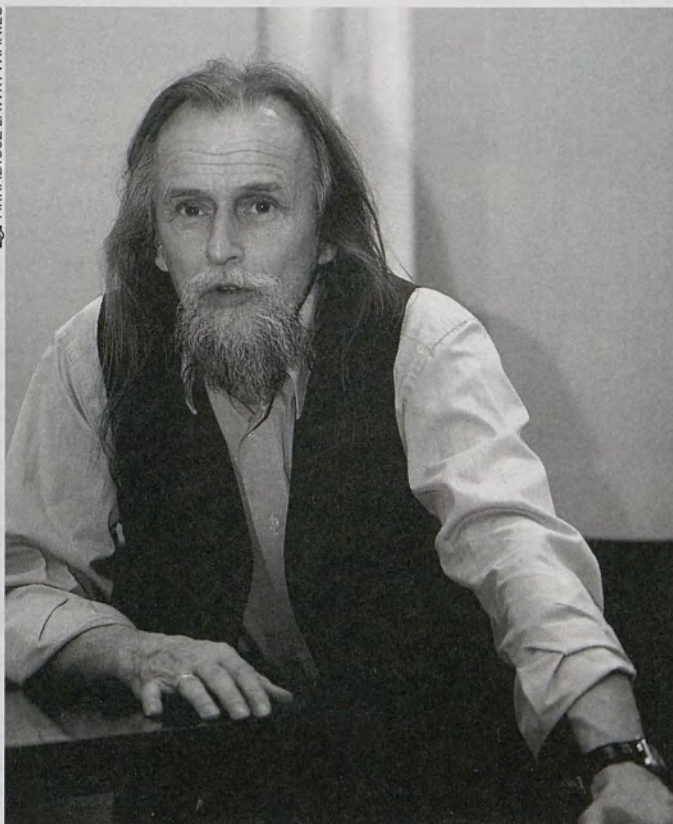
6.

Miasto to przestrzeń, której ofiaruję swój czas, także czas wolny, bo to wówczas rzeczywistość odsłania swoje niespodziewane, nierutynowe oblicza. Zatem nieuchronnie miasto wymusza szacunek dla czasu.

“

Miasto jako przestrzeń życia, podkreślmy – życia, a nie jedynie zabiegów administracyjno-zarządczych, musi być adogmatyczne, to znaczy wciąż badające się na nowo i odmieniające swój kształt.

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC



7

Dlatego władza nie powinna zwlekać ze swymi decyzjami, gdyż jej obowiązkiem jest wykazać się wrażliwością na fakt, że czas życia jednostki jest ograniczony i nie do powtórzenia. Ale i mieszkańcy winni wykazać swą cierpliwością szacunek dla czasu, jakiego wymaga tworzenie się miasta. Żadne miasto nie powstało z dnia na dzień; pisze Peter Zumthor, wybitny architekt, „nie wszystko może być piękne od samego początku”. Miasto wymaga czasu, czego poszanowaniem winni wykazać się obywatele, lecz co nie może służyć władzy do opóźniania decyzji, odkładania inwestycji na „potem”. Mówiąc językiem, jaki Józef Tischner wypracował na potrzeby *Etyki solidarności*, powiedzielibyśmy, że miasto to struktura, do której władza i mieszkańcy pozostają w „stosunku refleksyjnym”. Wynikiem tej relacji jest uważny, cierpliwy, lecz niemający nic wspólnego z kunktatorstwem namysł pozwalający na podejmowanie decyzji w najodpowiedniejszym rytmie i trybie.

7.

Bycie refleksyjnym oznacza zdolność do konstruowania połączeń między odległymi zjawiskami, a zatem umiejętność kontekstowania problemów. Tylko tak ustrzeżemy się przed złudnym mniemaniem, jakoby większość z nich mogła znaleźć proste i jednoznaczne rozwiązania, niepowodujące reperkusji w innych aspektach życia. Kształtowanie dyspozycji do budowania kontekstów powstaje w trakcie długiego procesu edukacyjnego, i należy ubolewać, że polska szkoła, oddana w dużej mierze testom i przedwczesnemu zawodowemu formowaniu ucznia, minimalnie tylko sprzyja umiejętności kontekstowania. W tym sensie uczeń wychodzi ze szkoły być może przygotowany do działania w mieście jako miejscu, w którym zarabia na życie, ale nie do działania na rzecz miasta jako *przestrzeni życia*. Kiedy twierdzimy, że miasto jest warsztatem wyobraźni mieszkańców, niechybnie musi to zwrócić uwagę na szkołę. Jeśli nie będzie ona kształcić wyobraźni (np. przez uczniowskie działania artystyczne czy społeczne), nasze miasto będzie nieszczęśliwe, bowiem nie będzie miało sił, by wymyślić własną przyszłość.

8.

Refleksyjność umożliwia nie tylko (*współ*)pracę przy tworzeniu miasta, ale także organicznie sprzeciwia się wszelkiej odgórnie zaplanowanej jednolitości, do jakiej dążą struktury polityki narodowo-państwowej. Miasto staje się nie tylko aglomeracją miejsc, ale nade wszystko *konstelacją projektów* opracowywanych dla poszczególnych dzielnic i całego miasta. Nie wszystkie projekty zostaną rzecz jasna zrealizowane, ale właśnie w ten sposób ujawni się *projektowy* charakter zamieszkiwania: powstaje bowiem sieć zamierzeń i obrazów świata, w jakich obywatele chcieli najpierw widzieć, a następnie przeżyć swoje życie. To zaś stanowi bezcenną wskazówkę do wszelkiego myślenia o mieście. Co więcej, im „niżej” schodzi poziom, na którym rodzą się owe projekty (wspólnota dzielnicy, ulicowa solidarność mieszkańców), tym większa szansa na odzyskanie ducha modelu „domowej” wspólnoty, w którym liczą się ludzie w ich relacjach osobowych. Żadna „polityka prorodzinna” nie robi tyle dla ducha społecznego, jak właśnie stworzenie dobrego klimatu do działania na rzecz minimalnej i dotykanej przestrzeni, w której kształtują się ludzkie relacje na płaszczyźnie innej niż podległość zawodowa (miasto o typie korporacyjnym), biegość ekspercka (miasto o charakterze przemysłowo-administracyjnym), czy też siła nabywczą (miasto konsumpcji na pokaz). Chodzi zatem o wizję miasta opartego na procesach zmierzających do nadania mu charakteru przestrzeni projektowo-domowej. Projektowość zapewnia miastu poczucie niegotowości, wykorzenienia, zmuszające do wysiłku i przeciwstawiające się gnuśnemu zadomowieniu; domowość natomiast sprawia, że traktujemy daną przestrzeń jako miejsce, w którym liczą się dobre kontakty z ludźmi, tolerancja, chęć pomocy i wzajemne zaufanie.

9.

Zaufanie stanowi podstawę naszego myślenia o takim mieście. Osłabienie (jeśli nie zanik) zaufania jako społecznego spoiwa odegrało decydującą rolę w przekształceniu miejskiej przestrzeni, która w ciągu ostatnich dziesięcioleci niejako straciła formę, stając się bezkształtnym, rozplywającym się w wielu kierunkach ciągiem zabudowy. Pomijając istotne czynniki ekonomiczne (np. w krajach zachodnich łatwy dostęp do kredytów zakończony krachem 2008 roku), owa suburbanizacja miasta wydaje się być ostatecznym wynikiem uwalniania jednostki, zapoczątkowanym jeszcze w XVII wieku przez Kartezjusza. Autonomizacja jednostki, której przyznano prawo do kształtowania siebie i świata wedle racjonalnych upodobań i zdolności techniczno-instrumentalnych (przeczytajmy *Robinsona Crusoe*), spłótła się z narastającą obawą przed innymi jednostkami (jakże panicznie Robinson lęka się kanibali, a im mniej prawdopodobne jest spotkanie z nimi, tym bardziej nasila się jego strach – czy nie przypomina to naszego stosunku do uchodźców?). Dzielność człowieka jest podszyta strachem przed drugim człowiekiem. Bezpieczeństwo staje się potrzebą podstawową. Zaufanie natomiast podległo swoistej dewolucji. Najpierw zostało uznane za postawę podważającą bezpieczeństwo, a zatem skierowaną przeciwko duchowi czasu grodzonych osiedli. Następnie, już niemal automatycznie, stało się synonimem naiwności lub nieprzygotowania do życia. Dzisiejsze strzeżone osiedla, długie ciągi pilnie nadzorowanych jednakowych domów to nic innego jak nowoczesna replika palisady i gęstego lasu, którym nieufny Robinson usiłuje uczynić swój dom niedostępnym dla kogokolwiek poza nim samym. Dzisiaj sytuacja jest bogatsza o pewien paradoks: oto bezpieczeństwa dla siebie, a zwłaszcza dla swych dzieci, poszukują ci, których życie upływa w jednym wielkim niebezpieczeństwie – utraty pracy, bankructwa firmy, niemożności spłacenia kredytu; wiele imion ma strach (po)nowoczesny. Ci, których nauczono, że życie jest niebezpieczną przygodą, ofiarują swe wysiłki na ołtarzu bezpieczeństwa, gdzie nic nie jest przygodą, a wszystko jest powtarzalną i nudną monotonią. Jak uczynić miasto *przygodą* – oto zadanie dla myślących o miejskiej przestrzeni.

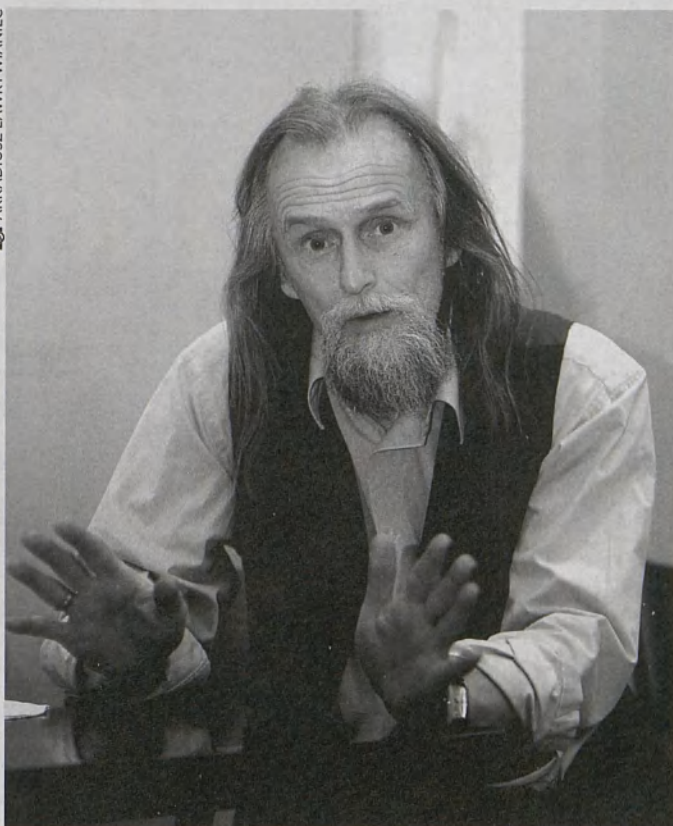
10.

Dlatego wbrew tytułowi głośnej książki Charlesa Montgomery’ego – *Miasto szczęśliwe. Jak zmienić nasze życie, zmieniając nasze miasta* – nie ma „miast szczęśliwych”. Miasto takie musiałoby bowiem osiągnąć w całej swej postaci stan pewnej doskonałości, przyjąć jakiś stan jako model życia obowiązujący, zamykający ruch wynikający z niezgody na to, co zastane. Lepiej zatem mówić o *miejscach szczęśliwych*, które mieszkańcom posłużą jako materiał dla warsztatu jego wyobraźni. Poznawszy ich historię (a miejsce takie może być dzielnicą, ulicą, a nawet pojedynczym domem), wygląd w różnych porach dnia i nocy, wizerunki powstałe w czasie ich trwania, doceniwszy zmiany – spostrzeże, że miejsce to nie jest obojętnym fragmentem materialnej przestrzeni. Staje się bowiem *przygodą*. W takich miejscach miasto nabiera „sensu wewnętrznego”, a jego przeżycie zbliża się do doświadczenia sztuki. Wszak istota dzieła sztuki polega na tym, pisze Georg Simmel

“

**Kiedy twierdzimy,
że miasto jest
warsztatem
wyobraźni
mieszkańców,
niechybnie
musi to zwrócić
uwagę na szkołę.
Jeśli nie będzie
ona kształcić
wyobraźni, nasze
miasto będzie
nieszczęśliwe.**

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC



9

w książce *Most i drzwi*, że z „nieskończenie ciągłego szeregu zjawisk albo przeżyć wykrawa jakąś część, wyrwa ją ze związków z tym i tamtym światem i nadaje jej samowystarczalną formę”. Miejsca szczęśliwe to miejsca, gdzie miasto nabiera „samowystarczalnej formy” lub, innymi słowy, „wewnętrznej mocy”.

11.

Można to uczynić drogą stopniowego odzyskiwania zaufania, bez którego budowanie miejskiej obywatelskości będzie niemożliwe. Wspiera się ona bowiem na dwóch filarach. Jednym jest coraz bogatsze doświadczanie i przeżywanie miejsca, miasta, regionu jako siły usensowniającej życie. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w Polsce do tej pory nie potrafiliśmy docenić tego, czym w istocie jest „region”, i na czym polega jego znaczenie dla naszej egzystencji. Owszem, funkcjonuje pojęcie „regionu”, lecz pojawia się albo jako niezbędny licznik w aplikacjach o unijne fundusze, albo używane jest jako straszak w doraźnych politycznych rozgrywkach. Na Śląsku rozumiemy ten problem lepiej i boleśniej niż gdzie indziej. Chodzi natomiast o poważny namysł nad regionem jako bezpośrednią otuliną naszego życia i myślenia, a tego zadania nie wykonaliśmy. Drugim filarem są mniej lub bardziej formalne ruchy tworzone przez mieszkańców do opracowania i wykonania pewnych projektów. Obydwa te zakresy działania są absolutnie niewrażliwe dla naszych miast, które w ten sposób nie tylko zyskują nowy kształt, ale potrafią obronić samorządność przed nasilającymi się zakusami władzy centralnej. Miasto jako ośrodek myślenia świata poprzez region, scenę działania lokalnego w całym bogactwie jego złożonej wielowątkowej, wielogłosowej i wielonarodowej historii – takie miasto jest szkołą obywatelskości nowoczesnej i otwartej na to-co-przychodzi. W tym kontekście nie może nie zasmucać szybkie wycofanie się wielu śląskich samorządów z planów przyjęcia przybyszów uchodzących przed wojną w Syrii. To decyzja antymiejska i antyobywatelska. Postępując w ten sposób, niszczymy ducha, który stanowi o tym, co prawdziwie miejskie. ■

Tadeusz Sławek

– profesor, anglista, tłumacz i poeta, wieloletni rektor Uniwersytetu Śląskiego

Jerzy Runge

Uciekamy i znikamy

Zmiany ustrojowe końca lat 80. uwypukliły bieżące i perspektywiczne zagrożenia ludnościowe, wyrażające się poprzez ubytek liczby mieszkańców, starzenie społeczeństwa, wzrost emigracji, kurczenie się miast. Są one zarówno konsekwencją przechodzenia z realnego socjalizmu do gospodarki rynkowej, jak i wynikają z wieloletnich trendów obserwowanych w życiu społecznym i gospodarczym.

10



11

Na początku usystematyzujmy. Po pierwsze – rozwój nigdy nie jest dany raz na zawsze. Miasta i regiony mają swój początek, ale mogą stanąć przed problemami grożącymi nawet kresem ich istnienia. Elementem inicjującym rozwój zawsze jest gospodarka, konkretnie – rynek pracy. Stwarza on możliwości nie tylko zaspokajania biologicznych potrzeb człowieka, ale także potrzeb wyższego rzędu, np. posiadania mieszkania, korzystania ze specjalistycznych usług lekarskich, uczestnictwa w imprezach kulturalnych, sportowych itp. Po drugie – rozwijająca się gospodarka potrzebuje pracowników, zatem w sytuacji lokalnego bądź regionalnego ich niedoboru pojawiają się problemy związane z dojazdami do pracy, także migracje. Po trzecie – na krajowy bądź regionalny układ zależności między gospodarką a rynkiem pracy wpływają procesy globalne. Najważniejszymi są: zmiany demograficzne, urbanizacja, modernizacja społeczna oraz globalizacja. Po czwarte – hierarchicznie oddziaływania globalne (m.in. cykle koniunkturalne) łączą się z krajowymi (m.in. zmieniającymi się priorytetami politycznymi) i regionalnymi (m.in. historycznymi uwarunkowaniami, stopniem spójności).

Zasilanie z zewnątrz

Obecność na ziemiach dzisiejszego województwa śląskiego znacznych zasobów surowcowych (zwłaszcza węgla kamiennego) spowodowała, że od średniowiecza po połowę XX wieku mieliśmy tu do czynienia z przekształcaniem się obszaru peryferyjnego najpierw w obszar, a potem region przygraniczny (przełom XIX i XX wieku) tudzież region zintegrowany (po 1945 roku).

Proces integracji między częścią śląską a małopolską pogranicza powodował dynamiczne procesy urbanizacyjne, pozostawiające w tyle te ośrodki miejskie, które do połowy XVIII wieku pełniły rolę wiodącą (m.in. Bieruń, Mikołów, Pyskowice, Siewierz, Sławków, Toszek). Taki model rozwoju – dośrodkowy, w kierunku centrum układu osadniczego, jest unikatowy nie tylko w skali Europy, ale także świata, bo odbywał się wbrew ograniczającemu oddziaływaniu granic. Zwieńczeniem tego procesu jest rozwój Katowic, które z pozycji „późnego przybysza” (prawa miejskie w roku 1865) dopiero na początku XX wieku stają się stolicą administracyjną regionu.

Od połowy XVIII wieku aż po późne lata 70. XX wieku rozwój ludnościowy pogranicza Śląska i Małopolski wynikał z dominacji napływu migracyjnego nad regionalnym przyrostem naturalnym. W 1945 roku po raz pierwszy w historii centralna część regionu, tj. konurbacja katowicka, znalazła się w granicach jednego organizmu państwowego i nadal w kształtowaniu bilansu ludnościowego widoczni byli migranci, zwłaszcza w latach 60. i 70. Wiązało się to z podjęciem znaczących wyzwań inwestycyjnych – najpierw w górnictwie na terenie Rybnickiego Okręgu Węglowego, zaś nieco później w hutnictwie (Dąbrowa Górnicza), przemyśle samochodowym (Tychy, Bielsko-Biała), jak i nadal w górnictwie (Jastrzębie-Zdrój).

Idea forsownej industrializacji obszaru i tak już silnie uprzemysłowionego wynikała z dwóch przesłanek: ideologicznej (w realnym socjalizmie doktrynalnie nie mogło być bezrobocia) oraz demograficznej (w wiek aktywności zawodowej na początku lat 70. wkroczyły roczniki wyżu demograficznego z lat 50.). Kompensacja urodzeń, czyli odłożenie decyzji o posiadaniu potomstwa na czas po zakończeniu wojny, zaowocowała nie tylko w Polsce wyżem demograficznym. W latach 1971-1974 młodzi ludzie tworzyli populację równą ich rówieśnikom z wszystkich ówczesnych sześciu krajów EWG razem wziętych. Na budowie samej tylko Huty Katowice pracowało blisko 60 tysięcy osób reprezentujących wszystkie regiony kraju, zaś aż 27 tysięcy z nich pozostało tutaj na zawsze, wiążąc swój los z Hutą i pobliską Koksownią Przyjaźń. Napływ około 300 tysięcy młodych ludzi z innych obszarów do ówczesnego województwa katowickiego spowodował konieczność budowy licznych osiedli mieszkaniowych, do dziś obecnych w krajobrazie wielu miast.

Kres zewnętrznego zasilania demograficznego zauważalny był już przed transformacją ustrojową (potwierdzeniem badania z roku 1984). W roku 1991 zaludnienie osiągnęło maksimum, a już dwa lata później saldo migracji dla miast przyjęło wielkość ujemną, zaś w 1996 roku po raz pierwszy odnotowano ubytek naturalny (czyli przewagę zgonów nad urodzeniami). Regionalne domknięcie przemian ludnościowych wy-

ARKADIUSZ ŁAWRYMIANIEC



“

Kres zewnętrznego zasilania demograficznego zauważalny był już przed transformacją. W roku 1991 zaludnienie osiągnęło maksimum, a już dwa lata później saldo migracji dla miast przyjęło wielkość ujemną, zaś w 1996 roku po raz pierwszy odnotowano ubytek naturalny (czyli przewagę zgonów nad urodzeniami).

kało z wyczerpania się dalszych możliwości ekstensywnego modelu rozwoju, opartego w decydującej mierze na zasilaniu z innych obszarów kraju.

Górny Śląsk na przełomie XIX i XX wieku – z uwagi na decydującą pozycję górnictwa węglowego w gospodarce światowej – zdobył wówczas pozycję globalną. Po II wojnie światowej był już tylko regionem o znaczeniu ogólnokrajowym, a po roku 1989 – spadł do poziomu regionu o znaczeniu wewnątrzokrajowym. Prymat gospodarczy przejęły inne branże i zarazem inne obszary, zwłaszcza aglomeracja warszawska. Zmieniły się też preferencje migracyjne. Narastające problemy gospodarcze przyczyniły się do nasilenia poszukiwań lepszych warunków życia.

Z centrum na peryferia

Już pod koniec XIX wieku właściciele śląskich kopalń i hut czynili starania o zatrzymanie młodych pracowników, którzy dostrzegali lepsze warunki pracy na zachodzie Europy. Stąd zrodziła się między innymi idea budowy Nikiszowca i Giszowca. Po II wojnie światowej dla mieszkańców konurbacji katowickiej czy rybnickiej realizowana była koncepcja weekendowego wypoczynku w Beskidach, co umożliwić miały tzw. wiślan-
1

oraz budownictwo letniskowe wokół Bielska-Białej i Żywca. Wiele z tych sezonowych lokalizacji przerodziło się stopniowo w zabudowania całoroczne dla starszego pokolenia, zaś mieszkania w konurbacji pozostawiano dzieciom.

Podobnie było w aglomeracji Częstochowy, dla której naturalnym kierunkiem week-endowej, później w części także całorocznej ekspansji już w okresie międzywojennym były nieodległe miejscowości Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej (np. Żarki). W porównaniu z innymi krajowymi układami osadniczymi owe procesy suburbanizacji były w obszarze województwa śląskiego wyraźnie skromniejsze. Odgórnie zaplanowaną i realizowaną suburbanizację odnotowano już tutaj wcześniej, bo w latach 60. i 70. (konurbacja katowicka – Tychy, Dąbrowa Górnicza; konurbacja rybnicka – Jastrzębie-Zdrój). Równie istotne znaczenie miała tutaj także suburbanizacja przeniesiona (poza otoczenie danego układu, tj. emigracja do innych regionów, na południe województwa, za granicę). W ostatnich latach zauważalna jest też suburbanizacja wewnętrzna, w stronę dzielnic otaczających śródmieście, w stronę peryferii lub styków z innymi miejscowościami.

Z racji wielkoskalowości złożonych układów osadniczych centralność i peryferyjność mają tutaj wymiar szczególny. Nominalnie można mieszkać w wielkim mieście, liczącym znacznie ponad 100 tysięcy osób, ale konkretna lokalizacja i fizjonomia miejsca zamieszkania mogą mieć cechy małomiasteczkowe bądź nawet gminy wiejskiej. Wynika to nie tylko ze skali terytorialnej danej miejscowości, ale historycznego procesu inkorporacji terytorialnych, jak i nakładania się na siebie faz zagospodarowywania przestrzeni. Pomimo licznych terenów przemysłowych – zwłaszcza w rdzeniu konurbacji katowickiej i rybnickiej – spotykamy tereny rolnicze, a nawet leśne. Także likwidacja dotychczasowej funkcji gospodarczej stwarzała po 1989 roku możliwości rewitalizacyjne w kierunku developerskiego bądź indywidualnego budownictwa mieszkaniowego (niektóre z dzielnic Katowic, Sosnowca, Tychów).

Mało nas, coraz mniej

Zasadniczym problemem jest depopulacja i jej wielorakie konsekwencje. W 1988 roku na obszarze obecnego województwa śląskiego zamieszkiwało 4,915 miliona osób, w 2011 roku – 4,597 miliona, zaś zgodnie z prognozą GUS – w 2035 roku będzie tutaj mieszkało 4,052 miliona osób. Ten blisko 900-tysięczny ubytek kształtować się ma nierównomiernie.

Najsilniejsze wyludnianie odnotuje konurbacja katowicka (aktualnie 2,5 miliona mieszkańców, za 20 lat – o pół miliona mniej). Ubytek będzie najbardziej widoczny w części centralno-zachodniej układu (część śląska), zarówno w rdzeniu, jak i jego otoczeniu. Konurbacja rybnicka, licząca 670 tysięcy mieszkańców, powinna zarejestrować do 2035 roku ubytek rzędu 70-80 tysięcy osób. Z kolei aglomeracje bielska i częstochowska, skupiające odpowiednio 330 tysięcy i 380 tysięcy mieszkańców, zmniejszą swój stan posiadania po nie więcej niż 10 tysięcy osób. Szczególnie widoczne będą ubytki zaludnienia w takich miastach, jak: Katowice i Sosnowiec (po 54 tysiące), Częstochowa (43 tysiące), Tychy (26 tysięcy), Jastrzębie-Zdrój (20 tysięcy), Dąbrowa Górnicza (17 tysięcy). Przyczynami są nie tylko malejące trendy demograficzne, ale także nieatrakcyjne rynki pracy, redukcja miejsc pracy i niegdyśiejsza nadmierna koncentracja młodych ludzi, co powoduje dynamiczny proces starzenia mieszkańców (Jastrzębie-Zdrój, Dąbrowa Górnicza, Tychy).

Spadek zaludnienia, narastające starzenie roczników wyżu demograficznego lat 50., jak i utrzymująca się znaczna emigracja zagraniczna powodują i powodować będą nasilenie potrzeb społecznych w zakresie ochrony zdrowia i opieki społecznej osób starszych, ale także ich możliwej aktywizacji zawodowej czy kreowania usług skierowanych dla tej populacji.

Województwo śląskie jest drugim w kraju pod względem dynamiki wyludniania i starzenia mieszkańców. A jednak kwestie te są nadal słabo uświadamiane przez władze lokalne i regionalne. ■

Jerzy Runge

– profesor na Wydziale Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego,
kierownik Katedry Geografii Ekonomicznej

Hałdy to nasz klejnot

Z przyrodnikiem dr. **JERZYM PARUSELEM**
rozmawia **WALDEMAR SZYM CZYK**

Nie lubimy hałd, wstydzimy się ich, bo są dowodem naszej destrukcyjnej działalności. Tymczasem Pan, jako przyrodnik, apeluje, żeby je zachować. Ba, najchętniej nie poddawałby Pan ich rekultywacji, tylko zostawił w stanie nienaruszonym.

– Wychowywałem się w pobliżu odkrywkowej kopalni w Murckach. Tam odbywałem pierwsze lekcje geologii – oglądałem odciski paproci i starszy kolega uczył mnie, jak się nazywają. Niestety, w wyniku rekultywacji tej hałdy zniszczono ją bezpowrotnie wraz z ogromnym bogactwem gatunków roślin i zwierząt. Dlatego marzy mi się stworzenie takiej ścieżki dydaktycznej na hałdzie, gdzie będziemy mieć dostęp do tych wszystkich skamieniałości. To przecież jest tożsamość tej ziemi. 320 milionów lat temu mieliśmy tutaj układ karbońskiego lasu, latały 70-centymetrowe ważki, a skrzypy i paprocie miały po 30-40 metrów. Nie zdajemy sobie sprawy, że wrzucając łopatkę węgla do pieca, korzystamy z elementu tego zielonego świata sprzed milionów lat. To piękny, zamknięty cykl przyrodniczo-kulturowy. To nasze dobro kulturowe, bo i popiół z węgla został przetworzony artystycznie przez malarza Mariana Mendrka z Pszczyny w cykl obrazów *Terra Slez*. Tymczasem większość hałd jest rozbierana, bo kruszywo potrzebne jest pod budowę autostrad. Chciałbym, żeby niektóre, te najbardziej charakterystyczne, znalazły się pod ochroną, zanim znikną z naszego krajobrazu.

Ale hałdy pylą, palą się, szkodzą człowiekowi...

– Jednak dla przyrodnika to klejnot. Wydobywamy coś spod ziemi, robimy z tego podłoże i tworzymy nowy układ przyrodniczy. To się da porównać ze zmianami, jakie zaszły w przyrodzie po wybuchu wulkanu Krakatau. Na hałdach możemy obserwować procesy inicjalne, mikroewolucji, co jest fenomenem. Przyroda wchodzi na nie, często powstają odmiany roślin niespotykane nigdzie indziej. Na hałdach dolomitowych są to rośliny lubiące zwiększoną zawartość metali w glebie. Tak jest na przykład w okolicach byłej kopalni Fryderyk w pobliżu Tarnowskich Gór, tak było na hałdzie pohutniczej w Szopienicach. Tam są zresztą chyba najciekawsze hałdy powstałe z wydobywania rud

galmanowych. Z kolei koło Jaworzna jest hałda „storczykowa”. Takiego nagromadzenia tych rzadkich i chronionych roślin nie znajdziemy nigdzie w naturze. Stosunkowo ubogie przyrodniczo są hałdy karbonu, pochodzące z eksploatacji węgla kamiennego. Silne zasolenie skał powoduje, że muszą minąć lata, zanim deszcze, wiatry, słońce zrobią swoje i stworzą glebę dla roślin. Co ciekawe, pojawiają się tam rośliny, które występują na Kujawach w środowiskach solankowych. Dzięki destrukcyjnej działalności człowieka stwarzamy nowe siedliska tych roślin.

Podręczniki zalecają jednak jak najszybsze rekultywacje hałd.

– Interesującym przykładem twórczego sypania hałdy są Paciorkowce w Bieruniu. To jedyna hałda, która została zaprojektowana przez architekta krajobrazu i jest konsekwentnie kształtowana.

Co, poza hałdami, może być znakiem rozpoznawczym przyrody Górnego Śląska?

– Ten problem pojawił się, kiedy powstawało Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska. Zastanawiałem się nad logotypem, nad czymś unikatowym – obojętnie czy ze świata roślin, czy zwierząt. Pierwsze skojarzenie to żubr. W roku 2015 mieliśmy zresztą 150-lecie założenia hodowli żubrów w Pszczynie. Ale wiele instytucji „zawłaszczyło” nam ten symbol – Liga Ochrony Przyrody, Białowieski Park Narodowy, Komitet Ochrony Przyrody PAN. Tymczasem to klejnot, to symbol Górnego Śląska. W roku 1755 zginął ostatni dziko żyjący osobnik w Prusach Wschodnich. Dopiero wówczas przystąpiono do hodowli żubra, aby gatunek ten przetrwał. W 1865 roku, a więc w 110 lat po zagładzie żubrów na ziemi niemieckiej, książę Jan Henryk XI Hochberg sprowadził z Białowieży żubry do Murcek i wypuścił do lasu, gdzie kiedyś żyły. To była pierwsza na świecie restytucja gatunku! Kiedy sprowadzano je do Murcek, to w Puszczy Białowieskiej było ponad 500 osobników, nikt nie przypuszczał, że w 1919 roku zginie ostatni dziko żyjący

“

Hałdy tworzą nowy układ przyrodniczy. Możemy na nich obserwować procesy inicjalne, mikroewolucji, co jest fenomenem. Przyroda wchodzi na nie, często powstają odmiany roślin niespotykane nigdzie indziej.

żubr na świecie. Po 20-30 latach przeniesiono je do Pszczyny, żeby były bliżej pałacu księcia. I to one są prapradziadkami wszystkich żubrów na świecie! Na podstawie Księgi Rodowodowej Żubrów ustalono, że ponad 90% z nich pochodzi od Planty i Plebejera. Ta nazwa PL nie jest przypadkowa, bo wskazuje na Pszczynę (Pless). Szkoda, że taki kapitał, taka marka, taki potencjał promocyjny kompletnie nie jest wykorzystany przez Śląsk. A rola i znaczenie żubrów pszczyńskich oraz zasługi pokoleń leśników i weterynarzy w dziele ratowania żubrów na świecie są prawie całkowicie przemilczane.

Ostatecznie jako element logo pojawiła się roślina...

– Wybrałem orzeszek bukowy, bo to kolejny symbol regionu. Na jego terytorium występują wszystkie buczyny rosnące w Polsce: żyzna buczyna niżowa sięga od Wybrzeża do Wodzisławia Śląskiego, buczyna karpicka schodzi z gór aż po Bytom, mamy buczynę sudecką, która sięga w okolice Żywca i Jury. No i jeszcze mamy buczyny kwaśne – niżowe i górskie, rosną na gorszych glebach.

A co jeszcze jest unikatowego w naszej przyrodzie?

– Jeśli mówimy o tak zwanych gatunkach charyzmatycznych, które wyznaczają tożsamość przyrodniczą regionu, to jest to marsylia czterolistna, której jedyne stanowisko było na Górnym Śląsku. A jeśli chodzi o zwierzęta, to ślepowron, ptak prowadzący nocny tryb życia, którego najstarsza kolonia znajduje się na stawach w okolicy Landeku i Ligoty w dolinie Wisły, a jego współczesna populacja na Górnym Śląsku stanowi niemal 50% populacji krajowej.

Istnieje czerwona lista roślin i zwierząt Górnego Śląska, którym grozi wymarcie. Czy jest tam wiele pozycji?

– Bardzo dużo, setki gatunków, w tym: 43 gatunki kręgowców, 63 gatunki bezkręgowców, 59 gatunków porostów, 46 gatunków mszaków i 80 gatunków roślin naczyniowych krytycznie zagrożonych, które wymagają natychmiastowej pomocy. Ale, niestety, nie robi się tego.

Kiedy zaczęto chronić przyrodę na Górnym Śląsku?

– Idea ochrony przyrody pochodzi od Aleksandra Humboldta, czyli jest to dopiero wiek XIX. Zanik poszczególnych gatunków wywołał refleksję, że trzeba to powstrzymać. Ale początki ochrony konserwatorskiej to są lata 20. minionego wieku. Wtedy powołano służby, pojawiły się pierwsze rezerваты, wyznaczono gatunki chronione. W roku 1922 powstała praca o szkodach dymowych w Katowicach. Ale monitoring środowiska wprowadzono dopiero w latach 70. Jak widać, wszystkie najważniejsze działania ekologiczne wychodziły z naszego regionu, bo był to region najbardziej uprzemysłowiony i zurbanizowany. Tu była największa degradacja środowiska przyrodniczego i największe zagrożenie życia człowieka.

Jaki ten Śląsk kiedyś był? Kiedy zaczął się zmieniać?

– Mamy na naszym terenie najstarsze ślady pobytu człowieka na ziemiach polskich – w okolicy Kończyc Wielkich na Śląsku Cieszyńskim odkryto półprodukty i narzędzia człowieka paleolitycznego sprzed około 800 tysięcy lat, które świadczą o tym, że człowiek ingerował w przyrodę. Są to też szczątki zwierząt dzikich i hodowlanych, ślady pożarów i mnóstwo ziaren zbóż zachowanych w osadach torfowisk. Ale jeśli chodzi o przebieg granicy rolno-leśnej, to ukształtowała się ona już około tysiąca lat temu. Wtedy uprawa wymagała wielkiej przestrzeni – o plonach decydowała wielkość areалу. Zajmowano więc tereny najkorzystniejsze pod względem uprawy, rugowano lasy łąkowe, bo były na żyznych glebach, a zostawiano zalesione tereny na piaskach, w niedostępnych wąwozach, na terenach trudnych do działalności rolniczej. Tak było przez setki lat.

Ale ostatnie 200 lat to największa ingerencja w przyrodę. Odkryto zasoby ziemi – węgiel, rudy i niezależnie, gdzie te złoża były, w lesie czy na polach, obszary te zostały radykalnie przekształcone. Najpierw było to wydobywanie powierzchniowe, potem głębinowe. Do tego doszedł przerób rud darniowych, pojawienie się hut. Potrzebny był opał, najpierw było to drewno. Ponieważ największą wartość opałową mają drzewa liściaste – buk, grab, więc one w pierwszej kolejności zniknęły. Kiedy w XVIII wieku wprowadzono zorganizowane leśnic-

“

**Zostały nam ślady
pierwotności – np.
Wzgórze Wandy
w Katowicach-
Murckach, które
jest pokryte lasem
bukowym. Choć
ten drzewostan
został wyhodowany
ręką leśnika,
to starodrzew
ukazuje nam
wygląd pierwotnej
Puszczy Śląskiej.**

two na Górnym Śląsku, zamiast drzew liściastych nasadzano w górach świerki, a na niżu sosny. Bo szybciej rosną i dają doskonałe drewno do celów technicznych. Efekty są dzisiaj tragiczne – zarówno w Beskidach, jak i w innych rejonach. Drzewa liściaste lepiej by sobie radziły w nieprzychylnych warunkach, a iglaste masowo wymierają.

**Najgorszy czas dla przyrody to były lata 70.
XX wieku?**

– Na szczęście to już się skończyło. Spowodowały to upadek przemysłu w latach 90. i całkowita zmiana technologii. To, co jest nowe, nie jest już tak szkodliwe. Zostaje oczywiście nadal nierozwiązany problem niskiej emisji.

**Czyli historia Górnego Śląska zapisana jest
w krajobrazie?**

– Mamy dziś krajobraz, który jest obrazem wszystkich działań człowieka związanych z rozwojem cywilizacyjnym, urbanizacją, uprzemysłowieniem. Zostały nam tylko ślady pierwotności – np. Wzgórze Wandy w Katowicach-Murckach, które jest pokryte lasem bukowym. Choć ten drzewostan został wyhodowany ręką leśnika, to zachowany w starej części rezerwatu przyrody „Las Murckowski” starodrzew ukazuje nam wygląd pierwotnej Puszczy Śląskiej.

**Pewnie Pan uważa, że bogactwa naturalne
i rozwój przemysłu to dla Śląska przekleństwo?**

– Z punktu widzenia przyrodniczego jest to degradacja, ponieważ zmieniliśmy pierwotną strukturę roślinności, przekształciliśmy składy gatunkowe drzewostanu, a co za tym idzie – fauny i flory. Zasoby ziemi zostały wyeksploatowane, przyroda skażona... Ale potencjał przyrody jest ciągle ogromny i wystarczyłoby nic nie robić, aby...

**Może powinniśmy stworzyć – wzorem Szlaku
Zabytków Techniki – Szlak Zabytków Przyrody?**

– Ależ takie przedsięwzięcie zostało przewidziane w pierwszej w Polsce regionalnej Strategii Ochrony Przyrody Województwa Śląskiego, która została przyjęta przez sejmik w 2012 roku. Byłem konsultantem tej strategii z ramienia Marszałka Województwa Śląskiego. Chcieliśmy, bazując na sukcesie Szlaku Zabytków Techniki, żeby coś takiego powstało. Ale na razie nic nie jest zrobione. Tymczasem mamy 15-20 obiektów, które mogłyby w niej się znaleźć. Pilsko, najwyższy punkt w województwie, gdzie mamy piętrowy układ roślinności, który kończy się na kosodrzewinie. Meandry Odry, gdzie mamy jedyny nieuregulowany kawałek tej rzeki. Jeśli chodzi o lasy, to buczyna w Murckach, czy w okolicach Segietu. Hałdy, piękne parki w Rudach Wielkich i w Pszczynie, aleje z wiekowymi dębami na ziemi pszczyńskiej. Nietoperze w podziemiach tarnogórsko-bytomskich – to fenomen na skalę europejską. Wreszcie żubry w Pszczynie. Te wszystkie obiekty podkreślałyby tożsamość tej ziemi, byłyby doskonałym materiałem dydaktycznym. Dzisiaj uczymy się w szkole o roślinach i zwierzętach całego świata, a nie wiemy, co rośnie w lesie lub na łące koło naszego domu. ■

Jerzy Parusel

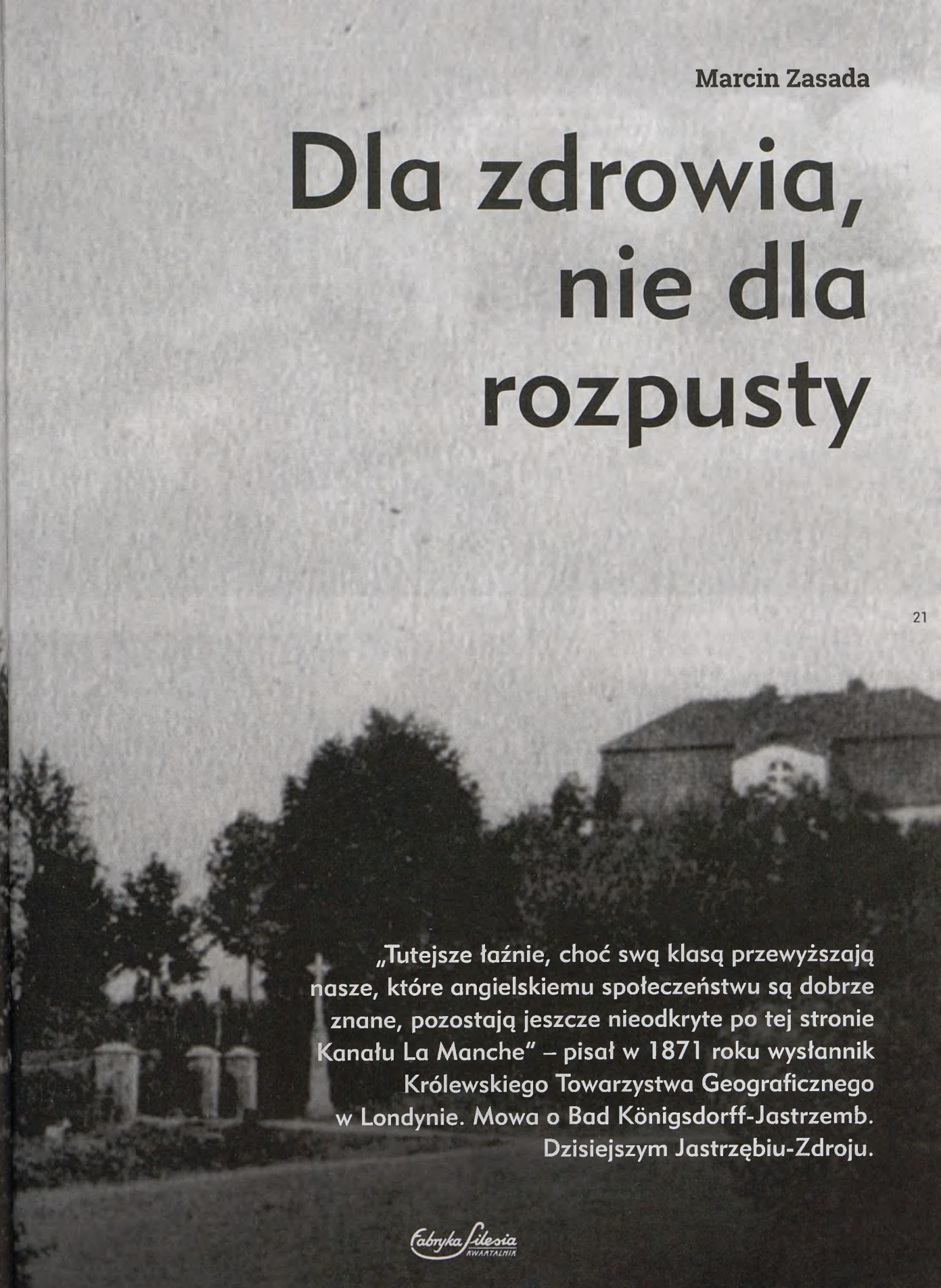
– dyrektor Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska

Waldemar Szymczyk

– dyrektor wydawniczy Imago PR, wieloletni redaktor katowickiej „Gazety Wyborczej”



Dla zdrowia, nie dla rozpusty



„Tutejsze łaźnie, choć swą klasą przewyższają nasze, które angielskiemu społeczeństwu są dobrze znane, pozostają jeszcze nieodkryte po tej stronie Kanału La Manche” – pisał w 1871 roku wysłannik Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Mowa o Bad Königsdorff-Jastrzeźb. Dzisiejszym Jastrzębiu-Zdroju.



Owym wysłannikiem był George Gladstone – pisarz, podróżnik i współpracownik słynnego Henry’ego Waltera Batesa, wówczas sekretarza brytyjskiego The Royal Geographical Society. Bates wyprawił Gladstone’a na Górny Śląsk, by ten opisał dopiero co powstałe uzdrowisko, o którym nowina już krążyła po Europie. Efekt tej wizyty stanowi dziś dla nas równie bezcenne, co całkowicie zapomniane świadectwo – reportaż z Bad Königsdorff-Jastrzęb został wydany w pierwszym tomie potężnego dzieła pod redakcją H.W. Batesa – *Illustrated Travels*.

„Godzina obiadu, typowa w Niemczech, to 13. Z kolei od godz. 17. do 19. licznych kuracjuszy można spotkać w uroczym parku – piją zdrojowe wody i spacerują lub siedzą przy muszli koncertowej, dyskutując lub po prostu rozkoszując się muzyką. Późniejszą porą, jeśli tylko pozwala na to pogoda, przed domem kuracyjnym, na świeżym powietrzu serwowana jest kolacja” – tak korespondent opisywał leniwy żywot gości jastrzębskiego sanatorium. Spędził z nimi kilka tygodni wiosną i latem 1871 roku (książkę wydano trzy lata później).

W Londynie nie ma mapy Jastrzębia

Podróże ilustrowane to klasyka XIX-wiecznej literatury podróżniczej. Wydano je w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, w sześciu tomach. Mózgiem przedsięwzięcia był wspomniany Bates – człowiek instytucja w naukach przyrodniczych, odkrywca mimikry wśród zwierząt, pomysłodawca i kierownik przełomowej, 11-letniej ekspedycji do

Dom Zdrojowy.

Kurplatz. Fragment parku uzdrowiskowego z widokiem na Szwajcarkę – pierwszy budynek kuracyjny.

deszczowych lasów Amazonii (1848-1859), z której powrócił z katalogiem prawie 15 tysięcy gatunków roślin i zwierząt, z których aż osiem tysięcy opisał jako pierwszy w historii nauki. Wydana w 1863 roku książka dokumentująca wyprawę (*Naturalist on the River Amazons*) przyniosła Batesowi ogólnoświatową sławę i uznanie. Karol Darwin nazwał ją „najlepszym dziełem przyrodniczo-podróżniczym, jakie kiedykolwiek wydano w Anglii”.

Kolejny pomysł Batesa był równie ambitny – zbiór reportaży podróżniczych z wypraw na wszystkie kontynenty. Efektem były właśnie sześciotomowe *Podróże ilustrowane. Zapis odkryć geograficznych i przygód*. W pierwszym z nich znalazły się relacje wysłanników Królewskiego Towarzystwa Geograficznego do tak egzotycznych miejsc, jak Andamany, Borneo, Cejlon, Dahomej, Himalaje czy Madagaskar. W *Illustrated Travels* możemy przeczytać o przeprawie przez Indie i Meksyk, o wizycie w Rio de Janeiro, Południowej Afryce oraz uroczych zakątkach Florydy. Pierwsza część dzieła Batesa zahaczała też o Europę, w szczególności o krainy mniej oczywiste z punktu widzenia angielskich czytelników: południowe Bałkany, Andaluzyję, Rosję oraz... Górny Śląsk.

Czemu akurat Jastrzębie? Jedyne rozsądne wyjaśnienie znajdujemy w pierwszej części reportażu: „Obszernie wspomniano o tamtejszym nowym, zupełnie niezwykłym sanatorium i jego zaletach w niedawnej publikacji popularnej w Berlinie”. Czyżby pomogła jakaś kampania reklamowa? Jest tylko jeden problem: George Gladstone skarży się, że mimo przybierającej na sile mody na Bad Königsdorff-Jastrzemb nigdzie w Londynie nie mógł znaleźć choćby fragmentu mapy, która pokazywałaby położenie uzdrowiska, nie wspominając



już o planie samej miejscowości. To akurat nie powinno dziwić – ledwie 12 lat wcześniej w Jastrzębiu odkryto źródła solanki jodowo-bromowej, w 1871 roku zdecydowana większość obiektów Zdroju nie miała nawet dziesięciu lat. W roku 1861 uzdrowisko kupił hrabia Feliks von Königsdorff – wtedy powstały m.in. Łazienki, a rok później Dom Zdrojowy.

„Jeśli ktoś lubuje się w podróżach morskich, może najpierw wybrać się statkiem z Anglii do Hamburga – ale to długa przejażdżka, przynajmniej 12 godzin dłuższa od połączenia kolejowego. Nam wyprawa z Londynu do Hamburga przebiega bardzo szybko – w 37 godzin (!). Potem Berlin, który jest dobrze skomunikowany z Wrocławiem” – pisze Gladstone. Już w pociągu chwali komfort jazdy koleją na Dolny Śląsk: „Druga klasa, jeśli chodzi o przestrzeń pasażerską oraz wygodę, odpowiada klasie pierwszej w pociągach angielskich”.

Eksport do USA

Zanim korespondent Batesa dotarł na Śląsk Górny, dzielił się swoimi ciekawymi spostrzeżeniami na temat krajobrazu: „Z ważnych miast mijamy Frankfurt nad Odrą, następnie Legnicę... Kraina to pełna obrazków z północnych Niemiec: piaszczyste równiny przeplatane lasami i rolniczymi polami. I ani jednego wzgórza, które zamknęłoby horyzont”.

Wyprawa Gladstone’a przypadła na burzliwy okres w tej części Europy – dopiero zakończyła się wojna francusko-pruska (lipiec 1870 – maj 1871), która nie tylko przypieczętowała zjednoczenie Niemiec na warunkach Królestwa Prus, ale i stała się iskrą dla Komuny Paryskiej. Angielski podróżnik w drodze do Jastrzębia nieustannie dzieli czas z wiarusami, którzy podążają do śląskiego uzdrowiska w celu „podreperowania zdrowia czy wyleczenia reumatyzmu, który przywieźli z Francji”. Podziwia Wrocław („Interesujące miasto, które jest świadectwem nowoczesnego stylu życia niemieckiej metropolii, kwitnącej na fundamentach starych europejskich tradycji”), w którym obmyśla najlepszą trasę do Königsdorff-Jastrzemb, a następnie m.in. Bogumín – ten z czasów gwałtownego rozwoju ekonomicznego i przemysłowego, po zbudowaniu w nim dużego węzła kolejowego („Mnóstwo narodowości tu, mnóstwo języków i różnych strojów: tutejsi, ale i Żydzi, Węgrzy, Austriacy, kolorowo ubrane kobiety...”). Napotkany po drodze berlińczyk mówi Gladstone’owi z przekąsem: „Cóż za osobiwa przygoda dla człowieka z Londynu – zapuszczać się aż na Górny Śląsk”.

Ostatni fragment szlaku nasz „człęk z Londynu” pokonuje konnym wozem, który jego pomocnik (wzmiankowany jako Hobson) wypożyczył w którejś z wsi przed Jastrzębiem. „Jechaliśmy w bezlitosnym deszczu jedną z najpaskudniejszych dróg, jaką można było sobie wyobrazić” – opisuje niedoskonałości traktu. Strudzonych wędrowców czekała na miejscu jeszcze jedna niespodzianka: brak wolnych pokoi: „Quite full (czyli: „Mamy komplet”) – taką odpowiedź słyszeliśmy raz za razem we wszystkich najlepszych pensjonatach. Wylądowaliśmy w końcu w małej izdebce w jednym z tutejszych domów. Przynajmniej dostaliśmy łóżko”.

Pierwsze wrażenia? „Do wioski prowadzi cudna brzoza aleja. Widać, że wiele jest tu jeszcze do zrobienia, choć Jastrzemb rozwija się błyskawicznie i zyskuje na popularności” – konstatuje Gladstone. I od razu fantastyczne spostrzeżenie: „Tu przybywają ludzie w celach naprawę zdrowotnych, a nie dlatego, że tak jest modnie, i nie w po-



MAULL & FOX,

LONDON.

Henry Walter Bates,
sekretarz brytyjskiego
The Royal Geographical
Society.

szukiwaniu okazji do rozpusty, jak w Bad Homburg czy Baden-Baden. Jeśli ktoś chce się tylko podleczyć, nie ma lepszego wyboru niż Jastrzęb”.

Królewski geograf odnotowuje: „Pobudka o 6. rano, następnie – do 8. dwie, trzy kąpiele w źródłach. Potem spacer w malowniczym parku, gdzie dobra orkiestra przegrywa przez dwie godziny każdego poranka, a także popołudniami. W dalszej części dnia, zgodnie z zaleceniami lekarzy, goście oddają się kąpielom, inhalacjom i innym zabiegom leczniczym. Woda, w której odbywają się kąpiele, pochodzi prosto ze źródła. Z tą różnicą, że może być jedynie podgrzana do odpowiadającej pacjentowi temperatury”.

Gladstone wybrał dobry moment na wizytę w Jastrzębiu: widząc tłumy gości podkreśla, że popyt na kurort wysokiej klasy jest w Niemczech ogromny i – jak usłyszał od hotelarzy – dopiero w kolejnych sezonach rozbudowy miejscowej bazy Jastrzębie będzie w stanie temu popytowi sprostać.

Prawdziwie sensacyjnie brzmią jednak słowa podróżnika z Londynu na temat eksportowego potencjału wody z Jastrzębia: Gladstone zachwyca się, że podziemne bogactwo śląskiego miasta wysyłane jest do różnych części świata. „Woda – zarówno w naturalnym, jak i skondensowanym stanie (dla porównania – dziś na rynku kosmetycznym dużą popularnością cieszy się tzw. skondensowana woda z Morza Martwego) importowana jest przez wiele krajów, w tym nawet Stany Zjednoczone i Indie” – podkreśla.

Co było w butelce?

Gladstone w swoim reportażu wiele uwagi poświęca śląskim krajobrazom w okolicy Jastrzębia, ze szczególnym uwzględnieniem hodowlanej i dzikiej zwierzyny. „Tutejsze brzozowe aleje przypominają trochę angielskie parki” – pisze. – „Na rolniczych polach nie dojrzelismy ani jednej owcy. Są za to krowy, skromnych rozmiarów co prawda, ale mleko, które dają, w smaku dorównuje mleku z naszych najlepszych krów Alderney (znana brytyjska rasa – przyp. M.Z.). Każdy rolnik ma też przynajmniej kilka świń. Z kolei na łąkach piękne melodie grają polne skowronki. Pełno tu srok, słowików i grzywaczy. Pod lasem kryją się kuropatwy, zające i lisy”.

Wizyta w Jastrzębiu zaowocowała również ciekawymi obserwacjami innego rodzaju: „Mało ludzi mówi tu po niemiecku. Miejscowi to raczej Polacy, którzy na co dzień posługują się polszczyzną. Na barkach wielu kobiet spoczywa robota w polu – ich mężowie wciąż nie powrócili do domów z wojny. W tygodniu na wsiach rzadko widywaliśmy panie w butach i pończochach – najlepszą garderobę każda zostawia na niedzielną mszę”.

Gladstone odwiedził przy okazji kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej (do dziś stojący w Jastrzębiu Górnym) – na sumie wiernych zebrało się tyle, że część z nich nawet nie zmieściła się w środku („Kobiety i mężczyźni wchodzą osobno: panie bocznym wejściem i miejsca zajmują po tej stronie świątyni; panowie zaś – wchodzą od frontu”). Innym razem był świadkiem ślubu kościelnego. I znów zaskoczenie: panna młoda objawiła się przed ołtarzem ubrana w czarną suknię, czarne buty, białe pończochy, zaś na głowie miała wianek z białych kwiatów. „Ceremonia była odprawiona po polsku – podczas niej kropiono głowy zebranych wodą święconą oraz namaszczano wonnymi olejkami” – relacjonował Anglik. Na koniec, wraz ze swoim pomocnikiem, złożył życzenia nowożeńcom, na co pan młody wyciągnął zza pazuchy butelkę alkoholu. „Częstował nas za jego zdrowie, ale jeszcze raz winszując, odmówiliśmy degustacji, obawiając się, co to też za napitek mógł znajdować się w podawanej nam butelce” – czytamy.

Z Jastrzębia Gladstone udał się jeszcze na wycieczkę do Cieszyńska („W Jastrzębiu sami katolicy. Tu zaś przynajmniej połowa ludności to protestanci”), Bielska oraz Jaworza. Podsumowując swą wyprawę zaznaczał, że „wizyta na Górnym Śląsku może być interesującym doświadczeniem, również z uwagi na fakt, że większość podróżujących po europejskim kontynencie rzadko decyduje się na tak egzotyczny kierunek, podążając raczej utartymi szlakami”. ■

Marcin Zasada

– publicysta, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”

Nasza *aqua vitae*

„Świeża woda zdrowia doda”; jestem z pokolenia, które wyrastało wśród takich sentencji. Starannie wyhaftowane niebieskimi nićmi na białym płótnie, ze stosownymi obrazkami, były nieodzowne w dawnej śląskiej kuchni. Po polsku, niemiecku, czesku...

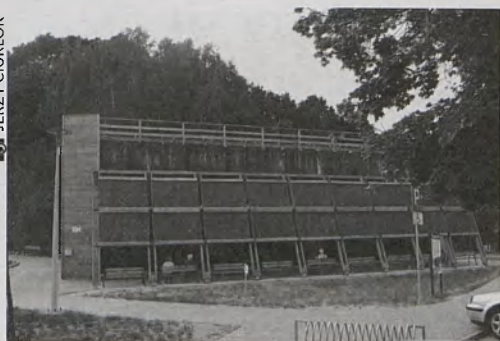
Te tzw. *fortuchy* miały swoje ściśle określone miejsca. Sentencje o wodzie – nad ławeczką, na której stały wiadra. Potem przeniesiono je nad kran; na chwilę, zanim całkiem zniknęły. Woda była ważna. Jak daleko sięgnę pamięcią, rozmawiano z troską o jej właściwościach zdrowotnych i smakowych, martwiono się, czy będzie w wystarczającej ilości i jakości w studniach bądź wodociągach. Opowiadano o źródłkach ze zdrową wodą, ale też o takich z niezdrową.

Priessnitz pod prysznicem

Śląskie źródło o nadzwyczajnej mocy leczniczej znano co najmniej od średniowiecza. Znane są rozprawy o ich szczególnych właściwościach leczniczych. Jedną z nich spoczywa w bibliotece Instytutu Medycyny Uniwersytetu Wiedeńskiego. To *Vincenza Priessnitz rodzinna księga wodna*. To notatki opisujące terapeutyczne metody, jakie stosował Priessnitz – jeden z prekursorów przyrodolecznictwa, przede wszystkim wodolecznictwa. Podyktował je pod koniec życia swojej córce Jadwidze.

Urodził się 4 października 1799 roku w skromnej, chłopskiej rodzinie, na południowo-zachodnich rubieżach Górnego Śląska w Gräfenbergu – dziś leżącej w Republice Czeskiej małej miejscowości koło Freiwaldau, czyli Jesenika. Szkoły raczej unikał, dlatego dopiero jako nastolatek nauczył się w miarę dobrze czytać i pisać. Przyczyną owego nietypowego dla Śląska półanalfabetyzmu były życiowe okoliczności. Ojciec Priessnitza stracił wzrok i chłopak musiał od najmłodszych lat zająć się gospodarstwem. To, że jako nastolatek uzupełnił braki, było wynikiem zainteresowania medycyną.

Ale po kolei... Któregoś dnia podczas gospodarskich prac poniosły go konie. Efektem wypadku był zmiażdżony palec i połamane żebra. Tego typu urazy były wówczas uważane za drobiazg niewart wydawania pieniędzy na lekarza. Młodzieniec zaczął leczyć się sam okładami z zimnej wody. Nie wiadomo, skąd siedemnastolatek powziął wiedzę w tej sprawie. Być może zetknął się z książką świdnickiego lekarza miejskiego Johanna Sigmunda Halma (1696-1773). W dziale pod tytułem *Zbawienne działanie świeżej wody w leczeniu wewnętrznych i zewnętrznych schorzeń* śląski lekarz opisał niektóre metody terapeutyczne. Lecz czy nie bardzo potrafiący czytać wiejski wyrostek rzeczywiście mógł korzystać z uczonej księgi? A może intuicyjnie sam coś odkrył? Mógł mu też podpowiadać,



Tężnia w Radlinie.



Tężnia w Dębowcu.



Kopalnia i Warzelnia Solanki w Dębowcu.

spokrewniony z nim, a mieszkający w sąsiedniej miejscowości, Johann Schroth, który w tym czasie praktykował przyrodolecznictwo. W każdym bądź razie efekty tej kuracji były zadziwiająco pomysne. To musiało rozejść się po okolicy, jak każda lokalna sensacja. Zaczęli pojawiać się pierwsi „pacjenci”. Wkrótce Vincenz Priessnitz stał się lokalnym ni to znachorem, ni terapeutą. Szczegółów nie znamy. Zapotrzebowanie chyba jednak było spore, bo mając 23 lata, w nowo wybudowanym kamiennym domu urządził specjalne pomieszczenie do wodolecznictwa. Stosował okłady z zimnej wody i natryski w połączeniu z masażami i piciem świeżej wody. Ze znakomitym skutkiem leczył reumatyzm, artretyzm, następstwa urazów, schorzenia układu pokarmowego.

Początkowo z jego pomocy korzystali rolnicy i rzemieślnicy z okolicznych miejscowości, ale z czasem pojawili się księża, oficerowie, urzędnicy i szlachta. Wreszcie zaczęli przybywać arystokraci z najświetniejszych książęcych rodów: von Pless, von Anhalt, von Nassau, kardynał von Diepenbrock i następca cesarskiego tronu Austrii arcyksiążę Anton wraz z matką. Byli też pacjentami Priessnitsa ludzie sztuki, m.in. wybitny poeta Heinrich Laube i... Fryderyk Chopin. Kuracje przechodzili u niego członkowie rodzin królewskich nawet spoza Europy. Przez całe życie Priessnitz leczył ponad 40 tysięcy osób z Europy, Azji, Afryki i Ameryki. Wśród nich był zapewne i ten, który w Polsce był prekursorem używania nazwy „prysznic”, bo to właśnie od nazwiska Priessnitsa, a nie od pryskania – jak ten i ów skłonny jest uważać – ukuto polską nazwę tego jakże użytecznego urządzenia.

Bywa, że sława rodzi zazdrość i wątpliwości. Dlatego związek lekarzy w Wiedniu wytoczył Priessnitzowi proces o znachorstwo. W 1830 roku, po dość trudnym procesie, sąd go uniewinnił. W następnym roku z Urzędu Krajowego w Opawie otrzymał zezwolenie na prowadzenie przyrodolecznictwa i do stosowanej terapii dołączył kąpiele powietrzne i słoneczne, gimnastykę i prostą pracę na świeżym powietrzu. W 1837 roku wysoka komisja lekarska w Wiedniu uznała wreszcie skuteczność tych metod. Do dziś są one zresztą stosowane. Bez odkryć tego Ślązaka nie byłoby późniejszej słynnej kuracji dr. Kneippa, do której nawiązuje – pod okiem biskupów opolskich – ośrodek leczniczy w Kamieniu (tym „od św. Jacka”).

W 1838 roku Priessnitz wybudował sanatorium na 600 osób. Przyczyniło się to do szybkiego rozwoju jego rodzinnych stron i jego własnego wzbogacenia się. Pod koniec życia posiadał kilka majątków ziemskich w różnych miejscach na Śląsku. Po śmierci jego majątek oszacowano na 10 milionów guldenów, co było skarbem iście królewskim. Zmarł 28 listopada 1851 roku. Trzy lata wcześniej doznał ciężkiego udaru mózgu. Stwierdzono u niego – co nie powinno dziwić – objawy poważnego przewodnienia organizmu. Uroczystości pogrzebowe celebrowało 40 księży. Obecne były oficjalne delegacje z wielu krajów, a na aksamitnej poduszce niesiono najwyższe austriackie odznaczenie – wielki złoty medal nadany przez cesarza Ferdynanda. Pomniki Vincenza Priessnitsa stanęły w Wiedniu, Stuttgarcie i jego rodzinnej miejscowości, a w Poznaniu ufundowano pamiątkową tablicę.

Słone morze

Jeśli spojrzeć na stare górnośląskie nazwy miejscowe, to łatwo zauważyć, jak wiele było miejsc, w których parano się przyrodolecznictwem, lecz dziś już o tym prawie zapomniano. Miejsca te wydają się absurdalne, gdy weźmie się pod uwagę późniejszą działalność



przemysłową, która nie tylko nie zmierzała do leczenia kogokolwiek, lecz wręcz przeciwnie. Ale i ten etap szczęśliwie mamy już za sobą. Może zatem jest okazja, by Górny Śląsk ponownie zaczął kojarzyć się ze „źródłami” i zdrowiem, a nie przemysłowymi wyziewami i astmą? Istnieją wielkie po temu możliwości.

A pojawiły się one dość niespodziewanie, i to właśnie dzięki wodzie. Szczególniej *aqua vitae*, jaką jest solanka. Na solance i borowinie stoi uzdrowisko w Goczałkowicach. Kiedyś także w Jastrzębiu. Możliwości są znacznie większe. Jakies 500 metrów pod powierzchnią górnośląskiej ziemi jest tafla ogromnego morza, którego wód nic nie skaziło od milionów lat. Które są najlepszą ze znanych na świecie solanek jodowo-bromowych. To morze spokojnie sobie „szumi” pod południowo-wschodnią częścią Górnego Śląska i właściwie nikt dokładnie nie wie, jakie jest wielkie. Wiadomo tylko, że bardzo wielkie! Solanka płynie z kilku odwiertów. Mogłoby być ich więcej.

Pod koniec XIX wieku, na polecenie cesarskie z Wiednia, rozpoczęto poszukiwania złóż węgla kamiennego w tzw. żabim kraju. Węgiel znaleziono, ale wykryto też metan w ilości uniemożliwiającej wydobywanie węgla. A przy metanie solankę, z którą nie było wiadomo co robić. Tak było w Zabłociu. Zatem otwory wiertnicze zamknięto i otwarto je dopiero całkiem niedawno. Dzięki temu w parku w Strumieniu, tuż obok zabytkowego rynku, tryska solankowa fontanna, a wokół niej ludzie spacerują i siedzą na ławeczkach, jak na słynnym deptaku w Ciechocinku. Fontanna była też w niezbyt odległym Dębówcu. I to jaka!

„Dziennik Cieszyński” donosił 17 października 1908 roku: „Wczoraj popołudniu nastąpił wielki wybuch i eksplozja w wierzącym się szybie w Dębówcu. Niedawno poczęto tam szukać węgla”. Cztery dni później pisano w „Gwiazdce Cieszyńskiej”: „Dębówiec, z niemiecka Baumgarten, stał się nagle głośną gminą nie tylko u nas na Śląsku,



Vincenz Priessnitz.

ale i po dalekim świecie, a to dzięki wybuchowi gazów, wydobywających się z niesłychaną siłą (...). Huk gazów rozlegający się jakich 12 kilometrów w promieniu, ściąga ze wszystkich stron Śląska chmary ciekawych ze sfer mieszczańskich również jak i wiejskich obywateli". A w „Dzienniku Cieszyńskim” dzień wcześniej zamieszczono wrażenia uczestnika takiej wycieczki: „Wulkan śląski wciąż dymi! (...) Na gościńcu ruch niezwykle ożywiony. Po drodze przewijają się piesi, przemykają jeźdźcy na koniach, jadą fiakry za fiakrami. Automobil podobno tylko odmawia posłuszeństwa. (...) Kto tylko może wyrwać się z miasta, spieszy na parę godzin, by przypatrzeć się niezwykłemu wybrykowi natury”.

Faktycznie, był to niezwykły „wybryk natury”. 15 października 1908 roku, około godziny 17.00, w otworze wiertniczym najpierw pojawił się osobliwy szum, a potem huk rozprężającego się gazu, który z siłą około 120 atmosfer rozrucił urządzenia wiertnicze na odległość 500 metrów. „Zgrozą przejęci skakali przechodzący do wielkiego stawu obok leżącego (...), bo rury żelazne niby jaskółki w powietrzu latające tuż przed nimi z rykiem w ziemię się zarzynały”. – to znów doniesienie „Gwiazdki Cieszyńskiej”. Do tego doszła kolejna informacja: „Gazy nieustannie i z łoskotem (...) wydobywają się i wyrzucają kawałki lodu, objętości pięści. W oddaleniu kilku metrów nie sposób jest wystać, gdyż bębni uszne grożą pęknięciem (...)”. Okazało się, że owe bryły lodu były słone. Wypływ gazu powstrzymano pod koniec 1908 roku, ale w lutym 1909 roku nastąpił kolejny wybuch, tym razem połączony z pożarem. Płomień z otworu bił na osiem metrów w górę. Po pięciu dniach ugasili go sprowadzeni z Wiednia fachowcy. I na wiele lat historia dębowieckich odwiertów się skończyła.

Jak w Ciechocinku

Przypomniano sobie o nich w 1946 roku, a jak już sobie przypomniano, to uruchomiono kopalnię. Nie węgla, jak planowaną pół wieku wcześniej, lecz gazu. Okazało się jednak, że z jednego odwiertu płynie więcej solanki niż gazu i że jest znakomitej jakości. Zaczęto więc ją wydobywać, a potem przetwarzać na sól i jod – bo jodu miała więcej niż jakakolwiek inna na świecie. Jeden z pracowników warzelni soli i wytwórni jodu wspominał, że do zakładu przyjeżdżali rodzice z dziećmi, żeby je inhalować. Kierownictwo zakładu pozwalało na to bez problemów. Bo przecież solanka to najlepsze lekarstwo na drogi oddechowe. Szczególnie taka solanka! Dziś nadal się ją wydobywa, mimo załamania produkcji po 1990 roku. Nowy-stary zakład wysyła swoje produkty do odbiorców bliskich, dalszych i bardzo dalekich – zagranicznych. A może ich dostarczać jeszcze więcej.

Tymczasem w samym Dębowcu stoi tężnia, jak w Ciechocinku, tylko mniejsza. Wcześniej była fontanna solankowa. Ludzie przyjeżdżają po zdrowy oddech. Podobną tężnię wybudowały władze Radlina. Może już wkrótce tężnie staną i w innych śląskich miejscowościach? Oj, przydałoby się. Bo co jak co, ale dobry oddech na Górnym Śląsku do niedawna był nieosiągalnym luksusem. A może jodowo-bromowa solanka stanie się handlowym przebojem i śląskim „znakiem firmowym”? Zamiast węgla. Zaś Górny Śląsk stanie się krainą, do której będzie się przyjeżdżało po zdrowie. A wszystkiemu będzie patronował Vincenz Priessnitz... *Ale by tyż to było piyknie!* ■

Jerzy Ciurlok

– dziennikarz, satyryk, pisarz

“

Idylliczny krajobraz górnośląski
zmienił się radykalnie
wraz z rozpoczęciem wspieranej
przez państwo pruskie
industrializacji.



Irma Kozina

Pamiętajmy o ogrodach

Jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku podróżnicy przejeżdżający
przez Górny Śląsk postrzegali jego krajobraz jako gęszcz
lasów i trudnych do przebycia chaszczy, tylko gdzieś tam
przerywanych widokiem pól uprawnych i niewielkich miast,
zakładanych najczęściej w czasach średniowiecza w sąsiedztwie
zamek i pałaców.

Dzika, niedotknięta ludzką ręką przyroda przeplatała się wówczas z sielskim widokiem rżysk i kartoflisk. Już na obrzeżach miast nasilała się zabudowa murowana, gdy zaś dyliżans zbliżał się do obszarów dworskich, pejzaż wzbogacał się o malownicze młyny, kuźnie, budynki folwarczne, sady i warzywniki. Celowo nasadzana, czasem sprowadzana z dalekich zakątków świata, flora pojawiała się przy klasztorach. Jej pozostałości zobaczyć można jeszcze w Rudach Wielkich, gdzie kultywacją gruntów zajmowali się cystersi. Obok pól uprawnych utrzymywali oni zazwyczaj hodowlane stawy rybne, choć stosunkowo wcześniej cysterskie gospodarstwa oparły swoje funkcjonowanie także na korzyściach płynących z rozwoju przemysłu, początkowo obejmującego głównie hutnictwo żelaza i innych, szlachetniejszych metali.

Z okien dyliżansu

Idylliczny krajobraz górnośląski zmienił się radykalnie wraz z rozpoczęciem wspieranej przez państwo pruskie industrializacji. Gdy odpowiedzialny za prowadzone na Śląsku uprzemysłowienie Fryderyk von Reden zatrudniał swoich inżynierów przy wznoszeniu wyposażonych w potężne wielkie piece hut w Tarnowskich Górach, Gliwicach i Królewskiej Hucie, przed oczami podróżnych pojawiły się nagle gigantyczne, dymiące ogniem i zionące otwartym płomieniem fabryczne kolosy. Estetyczne przyzwyczajenia oświeceniowych inżynierów powstrzymywały ich jednak przed agresywną eksploatacją zielonego otoczenia, toteż pochodzące z dawnych czasów ikonograficzne przekazy poddawanych przekształcaniu okolic ujawniają swoistą dbałość o pejzaż.

Reden wymuszał na budowniczych zakładów ozdabianie elewacji odlewni i pieców motywami neogotyckimi, troszczył się także o porządkowanie terenu, wytyczanie klarownego układu ciągów komunikacyjnych, czytelną parcelację gruntów przeznaczonych pod wznoszenie domów dla robotników jego zakładów, utrzymywanie w czystości stanowisk magazynowania produktów. Jego stosunek do krajobrazu wykształcił się na gruncie kontaktów z przemysłowcami brytyjskimi. Podczas wyjazdów służbowych do Anglii kontaktował się z przedsiębiorcami, którzy ulegli brytyjskiej modzie na zakładanie romantycznych parków. Pod ich wpływem sam stał się gorącym orędownikiem upiększania ziemi scenograficznie konstruowanymi plenerami.

“

Założony przez hrabiego Redena park zasłynął w całych Prusach, skłaniając nawet członków rodziny królewskiej do tworzenia podobnych założeń w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

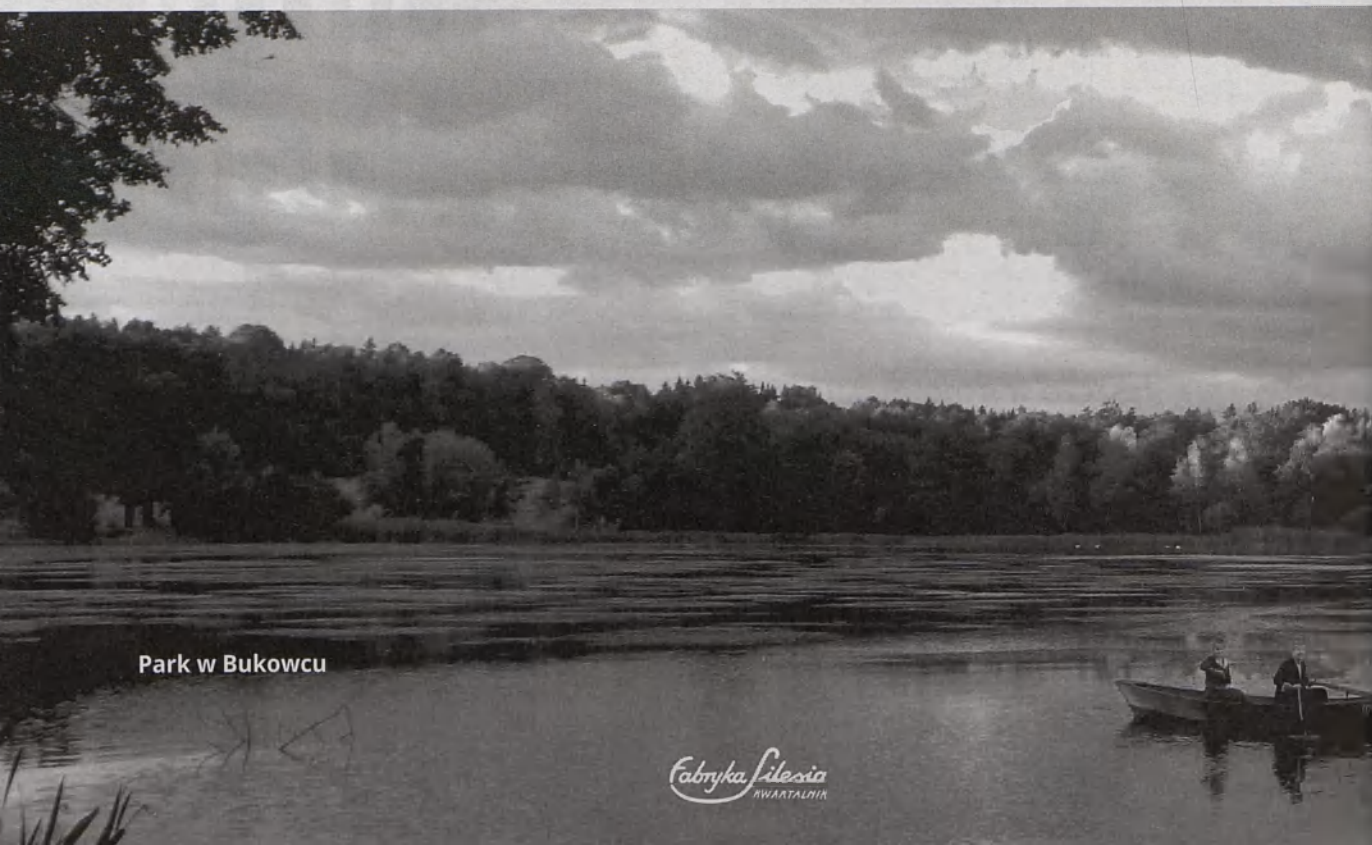
Bukowiecki pierwowzór

Historycy przemysłowego rozwoju Chorzowa, Bytomia, Gliwic i Tarnowskich Gór kojarzą hrabiego Redena przede wszystkim z jego inicjatywami industrialnymi, pamiętając o jego dokonaniach w zakresie sprowadzenia na Górny Śląsk pierwszej na tym terenie maszyny parowej, budowy kanałów odwadniających, eksperymentów z użyciem koksu i innych innowacyjnych technologii hutniczych i górniczych. Tymczasem na Dolnym Śląsku jest on znany w pierwszym rzędzie jako założyciel najstarszego w tej części Europy parku krajobrazowego w stylu angielskim.

Od 1795 roku w malowniczej dolinie w Bukowcu, u stóp Karkonoszy, Reden podjął się wielkiego dzieła przekształcenia dawnego majątku ziemskiego w nowoczesną farmę ozdobną. Była ona jednocześnie dobrze prosperującym gospodarstwem rolnym, z polami uprawnymi, stawami rybnymi i łąkami do wypasu krów i owiec, jak również pięknym parkiem romantycznym, z malowniczymi widokami, zaakcentowanymi pawilonami. W roku 1802 na jednym z parkowych wzniesień stanął w Bukowcu neoklasycystyczny pawilon herbaciany, z którego można było podziwiać Karkonosze. W równie urokliwej scenerii wzniesiono tam neogotyckie opactwo, które z czasem miało się stać rodzinnym mauzoleum, służącym jako miejsce pochówku Redena i jego żony. Założony przez hrabiego park zasłynął w całych Prusach, skłaniając nawet członków rodziny królewskiej do tworzenia podobnych założeń w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Prawdopodobnie stał się on także inspiracją dla Huberta von Tiele-Wincklera, który naśladował Redena zarówno w jego działaniach na rzecz industrializacji Śląska, jak też w jego pasji ogrodniczej.

Zielone dziedzictwo Huberta von Tiele-Wincklera

Tuż po ślubie z dziedziczką jednej z największych fortun przemysłowych na Górnym Śląsku, Waleśką Wincklerówną, Hubert von Tiele przystąpił do wznoszenia neogotyckiego pałacu w otoczeniu romantycznego parku krajobrazowego – na modłę angielską. Przyroda w okolicy Bytomia była jeszcze wówczas na tyle urokliwa, że ów potentat zdecydował się ulokować swą rezydencję w pobliżu należących do niego zakładów,



w Miechowicach. Architekt Heinrich Moritz August Nottebohm zaprojektował dla niego zamek w stylu Tudorów. Od 1854 roku ogrodnikiem miechowickiego parku został natomiast Gustaw Stoll, znany później głównie jako założyciel Królewskiego Instytutu Pomologicznego w Prószkowie w powiecie opolskim. We wczesnym etapie kariery zawodowej ten wybitny specjalista w dziedzinie sadownictwa zajmował się projektowaniem założeni zielonych przy miechowickim pałacu, tworząc w ten sposób podwaliny dzisiejszego Parku Ludowego w Bytomiu-Miechowicach.

Zamiłowanie Tiele-Wincklera do sztuki ogrodowej przejawiało się również w innej formie. Przemysłowiec zadbał nie tylko o upiększenie otoczenia własnej rezydencji, lecz przyczynił się także znacząco do ukształtowania terenów rekreacyjnych przeznaczonych dla pracowników jego przedsiębiorstw. Zarówno bowiem należący do najstarszych założeni zieleni miejskiej Górnej Śląska park imienia Franciszka Kachla w Bytomiu, jak też znacznie od niego młodszy park Kościuszki w Katowicach powstały na terenach przekazanych przez niego do wspólnego użytkowania przez mieszkańców tych przemysłowych ośrodków.

Niemal każdy górnośląski magnat przeznaczal część swoich dochodów na pielęgnowanie rozległego parku krajobrazowego; czasem ów park znajdował się w niedalekim sąsiedztwie jego zakładów, kiedy indziej znowu powstawał w znacznym oddaleniu od przemysłu ciężkiego. Tiele-Wincklerowie przenieśli z czasem rodową siedzibę do Mosznej. Podobnie zrobili równie aktywni w zakresie industrializacji Bytomia Schaffgotschowie, którzy osiedli w pałacu z rozległym parkiem w Kopicach. W rezydencjach ulokowanych w pobliżu swoich przedsiębiorstw pozostali jednak wciąż właściciele najbardziej dochodowych kopalni i hut: Hochbergowie z Pszczyny oraz Donnersmarckowie z linii siemianowickiej i świerklanieckiej, którzy traktowali funkcjonujące przy ich posiadłościach parki jako ważny element legitymizacji ich roli w regionie, wykorzystując je jako reprezentacyjną oprawę wielu oficjalnych uroczystości, a nawet udostępniając prywatne tereny spacerowe podwładnym.

Angielski... prosto z Irlandii

W 1868 roku do Świerklańca sprowadzono z Irlandii młodego ogrodnika Johna Foxa, który zatrudniony został przez Guidona Henckel von Donnersmarcka w celu przekształcenia terenów otaczających wzniesiony kilkanaście lat wcześniej neogotycki zamek w angielski park krajobrazowy. Fox wpłynął na sposób zaaranżowania linii brzegowej stawu przed tarasem, wytyczył koryta kanałów wodnych, zaplanował miejsca, w których postawiono mostki, sprowadził sadzonki egzotycznych drzew, które wyeksponował odpowiednio w parkowych plenerach. Pracował w siedzibie swojego chlebodawcy aż do 1909 roku. Zakończył służbę zaledwie na dwa lata przed śmiercią.

Kiedy przybył na Śląsk, nie potrafił komunikować się z miejscową ludnością, nie znał bowiem ani niemieckiego, ani też polskiego. Dość szybko jednak zaaklimatyzował się, tworząc w Świerklańcu park, który wprawiał w zdumienie przybyszów. Na jego atrakcyjne ukształtowanie składały się zarówno estetycznie zaaranżowane przyrodnicze scenerie, jak też fontanna i rzeźby parkowe autorstwa paryskiego artysty Emmanuela Frémietta. Fox wypracował własną wersję romantycznego parku, aranżując przyrodę w trzech strefach. Tuż przy wzniesionym kilka lat po jego przybyciu nowym pałacu (w stylu Ludwika XIII) urządził regularny ogród barokowy, następną strefą był *pleasure ground* – rekreacyjny teren z dużą ilością egzotycznych drzew, z klombami kwiatowymi i krzewami. W kolejnej części była gęsta i dzika przyroda z dużą ilością wysokich i rozłożystych drzew. Na przełomie XIX i XX wieku w pewnej odległości od utrzymanego w stylu francuskim zamku wzniesiono neogotycki kościółek z mauzoleum, gdzie na swoistym wewnętrznym dziedzińcu kwitły pachnące róże. Dzisiaj w ich miejscu posadzono drzewo iglaste. Za czasów Guidona park służył nie tylko jego rodzinie, lecz był też udostępniony do weekendowej rekreacji pracownikom przedsiębiorstw należących do Donnersmarcków.

Dla edukacji i zdrowia

Donnersmarck pozwolił korzystać z przypałacowego parku swym pracownikom, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że ich codzienność upływa w zanieczyszczonym środowisku prze-



Fontanna i rzeźby parkowe autorstwa paryskiego artysty Emmanuela Frémieta.



Za czasów Guidona Henckel von Donnersmarcka park służył nie tylko jego rodzinie.



mysłowym, które w drugiej połowie XIX wieku zaczęło już źle oddziaływać na kondycję fizyczną ludzi. Ten negatywny aspekt industrializacji stał się jeszcze bardziej dotkliwy w dwudziestolecie międzywojennym, gdy Górny Śląsk podzielony był między Polskę, Czechy i Niemcy. W niemieckim Zabrze działał wtedy dyplomowany inspektor budownictwa ogrodowego Fritz Berckling, który w 1928 roku założył służący przede wszystkim celom edukacyjnym miejski ogród botaniczny. Z kolei w Gliwicach, w latach 1928-1931, czynny był słynny projektant ogrodów Gustav Allinger, który obsadził drzewami aleje okalające modernistyczne osiedle DEWOG. W polskich po 1922 roku Katowicach działał jeszcze przez pewien czas niemiecki ogrodnik Paul Sallman, który przed pierwszą wojną światową zajmował się nadawaniem kształtu parkowi usytuowanemu w południowej części miasta (tzw. Süd-Park, nazwany później parkiem Kościuszki). Jednak był on tak wrogo nastawiony do swoich nowych pracodawców, że zaangażował się nawet w utworzenie na terenie Katowic zagranicznego oddziału NSDAP, toteż wypowiedział mu pracę; Sallman przeniósł się do Marburga.

W latach 30. miasto nad Rawą stało się terenem wyjątkowo ciekawego eksperymentu. W celu stworzenia obszarów zieleni z myślą o zapadających często na choroby płucne śląskich dzieciach zaczęto zakładać skwery i ogródki jordanowskie, wyposażone w urządzenia służące gimnastyce i zabawie. Ważną rolę odegrała w tym programie przyszła żona wojewody Michała Grażyńskiego, Helena Śliwowska. Przybyła ona z Warszawy z grupą współpracowników, z którymi zakładała tamtejszy ogródek jordanowski, i doprowadziła do powstania czterech podobnych założeń na terenie miasta. Pozostały po nich do dzisiaj przedszkola w modernistycznych gmachach, świetnie zachowanych m.in. przy ulicach Gliwickiej oraz św. Barbary.

35

Największy w Polsce

Idea tworzenia parków rekreacyjnych dla pracujących w ekstremalnie zanieczyszczonych warunkach Górnoszlazaków kontynuowana była także po 1945 roku. W czasach stalinowskich powstał park, przez długi okres funkcjonujący pod nazwą Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku. Obok kąpielisk i rozlewków wodnych, ścieżek spacerowych, rosarium czy nawet planetarium. Utworzono w nim też atrakcyjny ogród w stylu japońskim. Głównym projektantem tego gigantycznego założenia był warszawski inżynier ogrodów Władysław Niemiec (później działał pod nazwiskiem Niemirski). Wprawdzie jego dzieło świetnie spełnia swoją rolę do dzisiaj, jednak wiele pomysłów Niemca zniweczono. Za największą stratę uznać należy zaniedbanie owego ogrodu japońskiego, który mimo to wciąż zachwyca pięknem roślinności.

Choć współcześni Górnoszlazacy nie zawsze okazują się godnymi spadkobiercami dziedzictwa pozostawionego im przez poprzedników, to jednak starają się tworzyć nowe rozwiązania, na miarę własnej epoki. Świadectwem tego są cenione zarówno przez katowiczán, jak też gości pionowe ogrody, które zaledwie przed rokiem stanęły w samym sercu miasta. Czarny i zadymiony Śląsk powoli przekształca się ponownie w region z zielenią i coraz świeższym powietrzem. Wiele poprzemysłowych terenów poddawanych jest rekultywacji. Jedną z najważniejszych inicjatyw tego typu jest powstający unikatowy ogród botaniczny w Mikołowie. ■

Irma Kozina

– doktor habilitowany, pracuje w Zakładzie Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego

Aleksander Uszok

Pod baldachimem nieba

© ALEKSANDER USZOK

36



„Tysiące odwiedzających z bliższej i dalszej okolicy przyjeżdża każdej niedzieli specjalnie podstawionymi pociągami i samochodami do Ems, jak potocznie nazywa się Emanuelssegen, aby w okolicznych lasach szukać wypoczynku”. Tak rozpoczyna się opis Murcek, dzisiejszej dzielnicy Katowic, w branżowym niemieckim piśmie architektów „Moderne Bauformen”.

Artykuł o koloniach robotniczych wybudowanych w dominium księcia pszczyńskiego został opublikowany w 1917 roku, kiedy praca przy ich budowie jeszcze trwała. A jednak już wtedy autor wypowiedział się o tych realizacjach z najwyższym uznaniem. Czy dziś tłumaczenie tego artykułu można by wkleić do materiałów promocyjnych Katowic, licząc, że po prawie stu latach nadal wiernie opisuje sytuację niewielkich Murcek? I tak, i nie. Tak, bo Murcki po latach nadal zachwycają swoją architekturą i przemysłowym układem urbanistycznym, świetnie wkomponowanym w lasy pszczyńskie. Nie, bo w spokojnych i wyciszonych Murckach nie usłyszysz się dziś gwaru odwiedzających, czy to w poszukiwaniu wytchnienia na łonie natury, czy to chcących wypocząć w książęcym Gasthausie. Nie tylko dlatego, że nie ma już samego Gasthausu, wyburzonego na polecenie niesławnego sekretarza Grudnia. Ale i same Murcki, pozbawione gospodarskiej ręki, najpierw księcia pana, później kopalni, przybladły. Trzeba dobrej woli i wrażliwości, aby spacerując po dzisiejszych Murckach, w pełni docenić ich urok.

Śladem koncepcji Howarda

Murcki nie są odosobnione. Spośród dziesiątków wybudowanych przed ponad stu laty osiedli robotniczych dziś większość popadła w ruinę. Wiele z nich wciąż urzeka wyszukaną, a przy tym oszczędną architekturą. Ale na ich zaniedbanych fasadach wyraźnie zapisała się historia regionu. Również ta najnowsza, związana z restrukturyzacją. Osiedla robotnicze powstawały jako element triumfalnego industrializmu Górnego Śląska. Były świadectwem zaawansowania cywilizacyjnego regionu. Jednocześnie ich powiązanie z przemysłem spowodowało, że teraz dla wielu z nich nastały gorsze czasy. Niestłuszenie i niepotrzebnie.

O tzw. osiedlach patronackich mówi się dziś, używając określenia miasto ogród i wskazując na ich powiązanie z ideami angielskiego reformatora Ebenezera Howarda. Bo rzeczywiście niektóre górnośląskie osiedla stanowią swoistą adaptację jego idei na tutejszy grunt. Koncepcja Howarda wyrastała z przekonania o potrzebie gruntownej reformy sytuacji mieszkaniowej robotników w brytyjskich miastach.

Rozprawę *Miasta ogrody jutra* z 1902 roku Howard rozpoczyna od druzgoczącej analizy metropolii, zdegradowanych w procesie przemysłowej transformacji. Nadmierne zagęszczenie, przeludnienie, chaos, zanik więzi społecznych, „miliony porzucone, jak gdyby przypadkiem nad brzegami tej szacownej rzeki [Tamizy]” – oto jego diagnoza. Na Górnym Śląsku w drugiej połowie XIX wieku sytuacja wyglądała podobnie. Pisano, że „osiedla robotnicze naszego górnośląskiego regionu przemysłowego, który już teraz można traktować jako jedno ogromne miasto (...), składają się głównie z koszarowych ulic robotniczych (...), a w nich ujawnia się zbyt często wszelka niedola mieszkaniowa w jej najjaskrawszych formach”.

Wcześniej, w okresie osadnictwa fryderycjańskiego, śląski przemysł bazował na wykwalifikowanej kadrze sprowadzanej z innych części Prus i Saksonii. Stawiano dla niej niewielkie, złożone z kilku domów kolonie, często w sąsiedztwie już istniejących osad, niekiedy bezpośrednio przy powstających zakładach. Z czasem jednak, gdy zapotrzebowanie na siłę roboczą wzrastało, zaczęto masowo zatrudniać ludność miejscową. Dla pozyskiwanych pracowników stawiano domy sypialne oraz budynki mieszkalne o niskim standardzie. Dopiero powołanie w 1890 roku Komisji Mieszkań Robotniczych na Śląsku wprowadziło jakościową zmianę.

Podstawowym zadaniem Komisji stało się ujęcie budownictwa w określone ramy. Zapadła decyzja o konieczności budowy większych i odrębnych osiedli, w których otąd większy nacisk miał zostać położony na wyższy standard mieszkań, obecność obiektów użyteczności publicznej w sąsiedztwie i inne udogodnienia. W roku 1904 te ogólne wytyczne zostały zapisane w ustawie, która uregulowała szczegółowo takie kwestie, jak rozmiar mieszkań i warunki socjalne.

Dzieło Ebenezera Howarda było inspirowane ideami oświecenia i wczesnych socjalistów. Kiedy czytamy, że kluczem do rozwiązania problemów brytyjskich miast jest odpowiedź na pytanie „jak przywrócić ludzi ziemi – tej pięknej ziemi, pod baldachimem nieba, którą głaszcze wiatr, ogrzewa słońce, a deszcz i rosa nawilża”, to słyszymy w tym wyraźne echa Jeana-Jacques’a Rousseau. Jednak angielski reformator nie był myślicie-

lem utopijnym. Cenił miasto i niektóre jego atuty. „Każde miasto jest jak magnes, każdy człowiek – jak igła”, pisał. Ale zaraz dodawał, że zadaniem najbliższej przyszłości jest stworzenie „magnesów o jeszcze większej sile, niż ta, którą posiadają nasze miasta”. Tym nowym magnesem, łączącym w sobie walory miasta (wyższe zarobki, dostęp do pracy, możliwość rozwoju, rozrywka) z rozkoszami życia na sielskiej wsi, miało być miasto ogród. „Miasto i wieś muszą zostać poślubione, a z tej radosnej unii wypłynie nowa nadzieja, nowe życie, nowa cywilizacja”.

Koncepcje Howarda, choć może nieformułowane w tak górnolotnych zdaniach, zostały na Górnym Śląsku przyjęte w sposób równie szybki, co przemysłany. Kiedy koncern Giesches Erben przystępował do realizacji osiedla Giszowiec, to od razu zostało ochrzczone jako „nowa górnośląska wieś górnicza” (*Gieschewald. Ein neues Oberschlesisches Bergarbeiterdorf*, 1910). Jednak rzecz nie ograniczała się do nazwy. Georg i Emil Zillmannowie, architekci z Charlottenburga, musieli być dobrze zaznajomieni z ideą „zaślubin miasta i wsi”. Dla swojego osiedla, które miało pomieścić około tysiąca mieszkańców, wybrali wiejski typ zabudowy. Projekty domów powstały w oparciu o gruntowne studia lokalnego budownictwa wiejskiego, powtarzając jego charakterystyczne motywy architektoniczne. Te tradycyjne formy zostały jednak zmodernizowane, aby podnieść komfort mieszkańców. Na osiedlu zadbano o dużą ilość zieleni, zaś układ urbanistyczny został harmonijnie wkomponowany w otaczający las. Przy każdym domu zapewniono ogródek i pomieszczenia gospodarcze, w których właściciele mogli hodować domowy inwentarz. Całość miała wpływać „korzystnie na samopoczucie i kondycję mieszkańców”.

Inwestor zadbał też o udogodnienia, kojarzone z życiem miejskim. Budynki publiczne usytuowano w centralnej części osiedla, wokół wielkiego placu, zapewniając wszystkim łatwy i dogodny dostęp, co również wzmacniało poczucie wspólnoty wśród mieszkańców. Powstały sklepy, sprzedające towary po niewygórowanych cenach kontrolowanych przez spółkę Giesche. Postawiono też gospodę, służącą na co dzień mieszkańcom, a w sezonie letnim liczny odwiedzającym. Została w niej usytuowana duża sala widowiskowa, w której organizowano koncerty i spektakle teatralne Oberschlesische Volkstheater. Wybudowano również trzy budynki szkolne. Poza tym pralnię, agencję pocztową, szpital chorób zakaźnych i wreszcie – „ze względu na krewkość cudzoziemskich robotników” – więzienie. Oczywiście, należy również podkreślić bardzo dogodne usytuowanie kolonii, blisko zakładu pracy. W efekcie – pisano – „osada, dzięki swoim walorom stała się dla rodzin robotniczych wymarzoną miejscem osiedlenia się, a pracodawca zyskał wielopokoleniową kadrę dobrych pracowników, związanych z zakładem i miejscem zamieszkania”.

Osiedle w Niedobczycach
zaprojektował rybnicki
architekt i mistrz budowlany
Paul Martiny.

Między Nikiszowcem a Niedobczycami

Śmiałe realizacje miast ogrodów pojawiały się na obszarze całego górnośląskiego okręgu przemysłowego. Wrażenie robią kolonie zaprojektowane dla księcia pszczyńskiego przez Alfreda Malprichta. Bardzo dobre realizacje powstawały w Zabrze, Rudzie Śląskiej. Również na ziemi rybnickiej i wodzisławskiej znajdziemy wiele wartych uwagi przykładów. Wskażmy choćby osiedle w Czerwionce-Leszczynach, powstałe na zlecenie koncernu Zjednoczone Huty Królewska i Laura.





Pozdrowienia z Murcek.

Interesujące jest też osiedle w rybnickich Niedobczycach, gdzie inwestorem było Rybnickie Gwarectwo Węglowe (Rybniker Steinkohlengewerkschaft), chociaż do dnia dzisiejszego zachowała się tylko jego część. Osiedle powstawało w kilku etapach, ostatni, najbardziej wartościowy, zaprojektował rybnicki architekt i mistrz budowlany Paul Martiny. Dziś osiedle to próbuje się ponownie ożywić poprzez kompleksową rewitalizację.

Pojawia się zatem pytanie o przyszłość śląskich miast ogrodów. Gdy przed kilkunastu laty pojawiłem się po raz pierwszy jako przewodnik z wycieczkami w katowickim Nikiszowcu, choć architektura urzeżała, to – mówiąc ogólnie – atmosfera nie była przyjazna. Osiedle niechlubnie przodowało w statystykach policyjnych, mierząc się z poważnymi problemami społecznymi. Dziś Nikisz to najpopularniejszy punkt na mapie turystycznej miasta, odwiedzany codziennie przez liczne grupy turystów. Ceny mieszkań poszybowały w górę. Powstały lokalne stowarzyszenia, zaś mieszkańcy chętnie angażują się w działania na rzecz dzielnicy. Czują się znowu wspólnotą, co widać podczas lokalnych imprez i festynów. Bo miasta ogrody to nie tylko budynki i układ urbanistyczny. To również organiczna struktura społeczna i ekonomiczna. A problemy rozpoczęły się w momencie naruszenia owej struktury. Odrodzenie Nikisza powiodło się dlatego, że władze miasta, po latach zaniedbań, wzięły na siebie rolę gospodarza, angażując się w rewitalizację na poziomie zarówno materialnym, jak i społecznym. Wyzwolili to ogromny potencjał społecznej energii.

Podobne procesy można zaobserwować i w innych miejscach, chociażby we wspomnianych Niedobczycach w Rybniku. Od kilku lat ocalałe budynki poddawane są renowacji z przeznaczeniem na mieszkania socjalne. Wiele działań ze strony miasta i działaczy lokalnych zmierza do rewitalizacji społecznej tego miejsca. – Ludzie chcą się angażować w sprawy Niedobczyc, potrzebują jedynie impulsu, kogoś, kto im powie, że nic straconego, tylko trzeba brać sprawy w swoje ręce – podkreśla jeden z niedobczyckich aktywistów, Mirosław Górka.

Miasto ogród jako pomysł na organizację przestrzeni miejskiej ma wciąż ogromny potencjał. Nie musi być tylko sloganem, etykietką w strategii promocyjnej tego czy innego miasta. To wciąż żywa i atrakcyjna idea, będąca i dziś alternatywą dla miasta, które – pisał Tadeusz Sławek – „straciło swą siłę duchową, stając się w zamian maszyną do mieszkania i przemieszczania się ludzi i pojazdów”.

Aleksander Uszok

– animator kultury, społecznik, radny Katowic

Károline Pospiszi

Rybnickie odrodzenia

41

Górny Śląsk jest zielony,
kto nie wierzy, niech tu
przyjedzie, niech spojrzy
na seledynowe, jak pisał
Zbigniew Kadłubek, niebo.
Na lasy, parki, skwery, prymulki
w oknach, zarastające hałdy,
na roślinność wyrastającą
z każdego wolnego skrawka
ziemi. Ale to nie tylko zieleń
dosłowna, tak beczelnie
zaprzeczająca stereotypowym
obrazom tej krainy, ba! nawet
wciąż jeszcze duszącemu
smogowi. To także zieleń
inna – nowe życie wyrosłe
na, zdawałoby się, trującym
gruncie.

42

Zieleń śląska jest zielenią beskidzką (choć tutaj należy być ostrożnym, bo kwestia tożsamości Beskidu Śląskiego jest skomplikowana), opolską, tą bardziej rolniczą, także czeską – hulczyńską, karwińską, nawet ostrawską, otacza miasta przemysłowe – Katowice, Bytom, a także oddalony od nich Rybnik. Łączy się z przemysłem, pomyślecie o tych kopalniach w lesie – jak giszowiecka KWK „Murcki-Staszic”, o szybach wyrastających wśród krzewów... Jest też mniejszą zielenią skwerów, parków czy przydomowych ogródków. Jest także zupełnie pozaindustrialna – to te wszystkie rezerwy przyrody, parki krajobrazowe, ciągnące się w nieskończoność lasy, nawet pozostałości dawnej Przesieki Śląskiej. Najczęściej jednak przeplata się z przypisaną temu regionowi czernią, symbolem przemysłu, brudu, zanieczyszczeń, degeneracji krajobrazu i ludzi, prowadząc niekończącą się walkę o górnośląskie terytorium.

Staw zamiast rynku

Weźmy taki Rybnik, ten zielono-czarny plac boju, miasto, które w czasie gwałtownego, nawet rabunkowego wzrostu wessało otaczające wsie i miasteczka... Stolicę Rybnickiego Okręgu Węglowego, w czasach swej przemysłowej świetności zanieczyszczającą wodę, powietrze i ziemię. Miasto ze śmiercią w herbie, bo jak inaczej mówić o roślinie, która umiera na naszych oczach, o orzechu wodnym, czyli kotewce, na ziemi rybnickiej spotykanej już dzisiaj niemal wyłącznie w ikonografii. Wreszcie – miasto powstałe z zieleni, otoczone nią i próbujące do niej powrócić.

Zacznijmy jednak od początku, nie przejmując się porządkiem administracyjnym, bądźmy przez chwilę na bakier z polityką czy historią, spójrzmy na porządek ziemi, jej cykl i jej prawa. Zaczęło się od lasów, mokradeł i stawów, było tu – niech posłużę się słowami Aleksandry Ostroch – „jak w pięć minut po stworzeniu świata”. Zaczęło się od ludzi, którzy czerpali z zasobów natury, najpierw łagodnie, doskonaląc techniki stawiarские, żyjąc z hodowli ryb. To od tworzonych przez nich rybników, czyli stawów rybnych, wzięła się przecież nazwa tej osady. Nie zapominajmy o tym pierwszym złączeniu z krajobrazem ani o tym, że jeszcze w XII-XIII wieku w miejscu dzisiejszego rynku znajdował się staw, ani o tych wszystkich stawach, które istnieją do dziś lub które niedawno odżyły – o rekultywowanym „Mośniku” czy o stawach w Wielopolu...

Historia Rybnika i okolic to historia postępującego, coraz brutalniejszego działania człowieka, nieprzemysłanej wycinki fragmentów lasu, poszukiwań rud żelaza (przecież pierwsze kuźnie powstały tu najprawdopodobniej w XV wieku), wydobycia



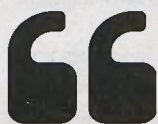
Plac przed Teatrem
Ziemi Rybnickiej.

węgla kamiennego, tego ruchu w głąb ziemi, wyrywania jej zasobów. To też historia rozpanoszenia się i dogorywania wielkiej przemysłowej. Jak grzyby po deszczu powstały kopalnie, rozrastała się sieć kolejowa, rosło też miasto.

Rybnik wcześniej, bo już przed rokiem 1308, zdobył prawa miejskie, był znaczącym ośrodkiem kulturalnym, rzemieślniczym, potem także przemysłowym, a mimo to nigdy nie panowała tu charakterystyczna dla wielu górnośląskich ośrodków zabudowa – na próżno szukać tu wysokich kamienic czy innych śladów wielkomiejskości. Znajdziemy za to miejsca o jeszcze widocznym wiejskim charakterze – wszędzie tam, gdzie wchłaniane przez miasto w ciągu dziejów, zwłaszcza zaś w ostatnim stuleciu, mniejsze miejscowości czy wsie nie nadążyły za przyspieszającym coraz bardziej dwudziestym wiekiem. Ligota, Wielopole, Zebrzydowice, Chwałęcice... – to tylko kilka z wielu przykładów. Wszystkie one najprawdopodobniej zniknęłyby bez przemysłu. Spróbujmy więc spojrzeć na okres czerni jako na niezbędny czas rozwoju, jak na – nie odchodząc od metafor najzupełniej ziemskich i roślinnych – konieczne dla wzrostu zimowanie. Byłoby to więc nie tylko przekleństwo zanieczyszczeń, ale także część tutejszego dziedzictwa, od którego nie można uciec i które trzeba zaakceptować, przyjąć i na tej akceptacji budować przyszłość. Nie bez kozery zmieniono przecież herby okolicznych wsi i miasteczek jeszcze przed ich przyłączeniem do Rybnika – do atrybutów wiejskich dodawano symbole górnictwa czy wrośnięte już w pejzaż kopalniane szyby. Spójrzcie na herb Niedobczyc, Niewiadomia czy Chwałowic – toż to właśnie alegorie tutejszych dziejów!

Kwiaty i ogrody

Jednak era przemysłowa, jak zresztą każde zimowanie, musiała dobiec końca. Zostało kilka kopalń, jest jeszcze elektrownia... Ale trzeba szukać innej drogi, wrócić do szeroko rozumianej zieleni, jednak nie do zaprzeczenia przeszłości czy „czarnego dziedzictwa”. Trzeba stworzyć coś nowego, co wyrasta z przeszłości, ale co jednocześnie nie jest



Rybnik w dwudziestoleciu międzywojennym, w czasie gdy był już ważnym ośrodkiem przemysłowym, zdobył tytuł „miasta kwiatów i ogrodów”; do dzisiaj dużo w tym mieście zieleńców, skwerów i parków.

przez nią zniewolone. A więc nie odcinać się od zabytków techniki, ale też sięgnąć do równoległych i nieco zapomnianych ścieżek rozwoju, do potencjału przyrodniczego, kulturowego i ludzkiego. Bo przecież Rybnik to nie przemysłowa enklawa, jak nieraz bywa przedstawiany w mediach. To także miasto parków i ogrodów, miasto literatury i muzyki, także miasto rewitalizacji i współpracy. Korzenie tego nowego życia, o którym była mowa na początku, nastawionego na przyszłość inną, postindustrialną, ale też tę zupełnie z przemysłem niezwiązaną, tkwią głęboko w tej ziemi. Ono po prostu teraz silniej wzrasta.

Rybnik w dwudziestoleciu międzywojennym, w czasie gdy był już ważnym ośrodkiem przemysłowym, zdobył tytuł „miasta kwiatów i ogrodów”; do dzisiaj dużo w tym mieście zieleńców, skwerów i parków – a za każdym z nich kryje się opowieść, którą warto odkryć, by przypomnieć sobie o wielokulturowej przeszłości miasta, o bolesnej historii tworzącej jeden z trzonów tutejszej tożsamości. Mówić o mieście poprzez parki? Czemu nie? W miejscu zieleńca przy ul. Wieniawskiego znajdował się kiedyś żydowski cmentarz, przy ul. Zamkowej zaś, gdzie dzisiaj można usiąść w cieniu topoli, stała żydowska bożnica, przy „nowym kościele”, tam, gdzie dziś jest park, zbierali się powstańcy śląscy... Nie tylko duże miasta, tak dobrze opisane w literaturze, mają palimpsestowy charakter. Rybnik także, podobnie jak okoliczne miejscowości. Trzeba tylko zacząć zrywać kolejne warstwy, by odnaleźć bogatą przeszłość i – być może – wskazówki, jak poradzić sobie z szybko zmieniającą się teraźniejszością.

Idąc tropem roślinnym, można by tu powiedzieć o okolicznych, tak przecież bliskich, lasach, rozwijającej się turystyce – i nie, nie industrialnej, choć przecież zabytkowa Kopalnia Ignacy przyciąga wielu ludzi. Spójrzmy na Rybnik i okolice z góry, na mapę Subregionu Zachodniego, na to, co nazywa się „zielonym Śląskiem”. Sięgnijmy nawet po dwa tomy przewodnika krajoznawczego Aleksandra Żukowskiego, żeby przekonać się, jak wiele tu do zobaczenia i odkrycia – w samym mieście kilka pomników przyrody, liczne parki, rzadkie okazy oczarów wirginijskich, a gdyby tylko trochę się od Rybnika oddalić – park krajobrazowy w Rudach Wielkich czy lasy ciągnące się aż do województwa opolskiego.

Słowa i dźwięki

Oderwijmy się jednak od zieleni dosłownej. Owo nowe życie to także odrodzenie kultury, czy może inaczej – jej rozrastanie, bo ona cały czas tu jest. To przecież w tym miejscu odbywa się jedno z najstarszych wydarzeń literackich w Polsce – Rybnickie Dni Literatury. Zapoczątkowano je (najpierw jako Rybnickie Dni Poezji) w 1962 roku w klubie „Kontakty” działającym przy Rybnickiej Fabryce Maszyn. Także w tym przypadku czas związany z przemysłem był okresem może jeszcze niepozornego, ale jednak wzrostu, jakiegoś kiełkowania. Były to lata trudne, a przedsięwzięcie ogromne, pierwsze chyba o tak dużej skali w historii powojennego Rybnika. Właśnie to wyjście poza granice miasta, nieraz też ograniczane (przez cenzurę czy okoliczności polityczne), było ważnym gestem dla regionu. Zapraszano tutaj twórców rodzimych i spoza Śląska, nawet z zagranicy, ale – jakkolwiek teraz to zabrzmi – najistotniejsi nie byli tu pisarze, lecz ludzie zaangażowani w organizację tego wydarzenia: społecznicy, działacze kulturalni, pracownicy instytucji państwowych, ale też amatorski ruch artystyczny. To w nich tkwił i tkwi największy potencjał. Bez tych ludzi, bez ich refleksji nad przestrzenią, w której żyją, bez ich potrzeby kontaktu z szeroko rozumianą kulturą nie powstałoby tyle lokalnych inicjatyw.

Władza mogła dać odpowiednie struktury czy zapewnić finansowe i organizacyjne wsparcie. Jednak bez ludzi te struktury pozostałyby puste.

Obecnie jednym z ważniejszych tutejszych centrów kulturalnych jest Teatr Ziemi Rybnickiej, do którego – zgodnie zresztą z tutejszą tradycją – wiodą kwiaty (spójrzcie tylko na teatr od strony placu Wolności!). Słowo „teatr” to za mało, mamy tu bowiem do czynienia z działalnością kulturalną na o wiele szerszą skalę. To właśnie tu odbywa się wspomniane wyżej święto literatury oraz dziesiątki innych cyklicznych i jednorazowych imprez, zwłaszcza muzycznych. Tak, dużo tu muzyki! I nie chodzi wyłącznie o spuściznę chyba najsłynniejszego mieszkańca ziemi rybnickiej, Henryka Mikołaja Góreckiego, ale o tryumf muzyki w ogóle, niezależnie od jej rodzaju czy gatunku... Odbywają się tutaj zarówno koncerty gwiazd światowego formatu (jak np. Bryana Adamsa, Guns N' Roses, Roda Stewarta czy Linkin Park) – każdy gromadzący kilkanaście tysięcy widzów, jak i znane ponadlokalnie festiwale: jazzowe, bluesowe, muzyki klasycznej, orkiestr dętych... Wymieńmy tylko kilka z nich: Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego, Silesian Jazz Meeting, Dni Muzyki Organowej i Kameralnej, Music&Soul Festival, Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Lira”... Ten ostatni zresztą organizowany jest we współpracy z bliską przecież pod względem geograficznym i kulturowym Ostrawą – miastem, które zmagало się i zмага z podobnymi do rybnickich problemami.

W imię wspólnoty

Muzyka miałaby wrosnąć w tutejszą, jak i w całą śląską ziemię (o czym pięknie pisał Aleksander Nawarecki w *Lajermanie*), także dosłownie. Powstał już projekt zbudowania przy rybnickiej Państwowej Szkole Muzycznej nowoczesnej sali koncertowej z widownią na 300 osób, która służyłaby nie tylko uczniom i nauczycielom, ale całej społeczności.

Całej społeczności... Właśnie takiego myślenia potrzebuje każde odżywające czy – używając modnego określenia – rewitalizowane miasto. A nawet rewitalizujące się, bo przecież to czynność zwrotna, nie ma tu miejsca na bierność, na poddanie się zmianom, konieczne jest uczestnictwo. Rewitalizacja to nie tylko remonty, to właśnie tchnięcie nowego życia. Dlatego też konieczne są, może obecnie jeszcze niedoskonałe, działania na rzecz ożywienia miasta, a z tym wiążą się trudne do rozwiązania problemy – bezrobocie, wciąż trwająca restrukturyzacja przemysłu, remont i zasiedlenie licznych w śródmieściu pustostanów, zainteresowanie inwestorów samym miastem i całą ziemią rybnicką, a także równie ważna kwestia dużego przecież jeszcze zanieczyszczenia powietrza.

Nie chodzi tu więc, a przynajmniej nie tylko, o zmiany widoczne w tkance miejskiej, o przebudowę ulic (jak np. Sobieskiego i Powstańców), gruntowny remont ważnych i wartościowych architektonicznie budynków (kompleks Juliusz), ale o tworzenie przestrzeni przyjaznej mieszkańcom o różnych potrzebach i w różnym wieku – takiej jak planowana Śródmiejska Strefa Wielopokoleniowa, także o rozwijanie inicjatyw obywatelskich, oddolnych działań i przedsięwzięć. Bo przecież od ludzi się zaczęło i w nich właśnie tkwi największy potencjał Rybnika.

Na ich wartości poznała się, jak może się wydawać, tutejsza władza. Fundacje, stowarzyszenia czy ruchy społeczne mogą liczyć, jeśli nie na pomoc finansową, to przynajmniej na patronat medialny ratusza. A to ważne, by zaistnieć w świadomości mieszkańców i móc działać prężnie – także poza samym Rybnikiem. Wiele organizacji pozarządowych, jak np. Superfundacja, Centrum Rozwoju Inicjatyw Społecznych czy Rybnik Nasze Miasto, działa na rzecz odbudowy wspólnoty lokalnej, włączenia do niej wykluczonych – niezależnie od tego, czy powodem znalezienia się poza społecznością lub na jej marginesie były niepełnosprawność, bezrobocie, nienadążanie za technologią czy inne kwestie. Od odbudowania wspólnoty powinno się zacząć zmiany. Silna społeczność, doceniająca własną kulturę i dziedzictwo, ale otwarta też na współpracę z innymi, to mocny fundament, na którym można budować nowe życie, już to zwrócone w stronę zieleni. ■

Karolina Pospiszil

– literaturoznawca w Katedrze Literatury Porównawczej Uniwersytetu Śląskiego,
tłumaczka z języka czeskiego

“

Najważniejszy gmach
ma być przebudowany tak,
by służyć celom kulturalnym.
Powstaną sale konferencyjno-
-dydaktyczna oraz
ekspozycyjna. Drugi budynek
ma zostać zagospodarowany
we współpracy
z Ministerstwem
Infrastruktury i Rozwoju,
zaś tam, gdzie obecnie
znajduje się parking, planuje
się urządzenie kwartału
senioralnego.

Józef Krzyk

Drugie życie Juliusza

Żeby uwierzyć w drugie życie Juliusza, trzeba przyjść
do niego ścieżką wzdłuż Nacyny, mając za plecami
Rybnickie Morze.



Do Juliusza, czyli kompleksu zabudowań po nieczynnym od dawna szpitalu, można też dojść od strony Urzędu Miejskiego. To zaledwie kilkaset metrów od niego. Oglądane z tej perspektywy ponadstuletnie budynki sprawiają przygnębiające wrażenie. Piękne i dostojne mury z nieotynkowanej cegły na pierwszy rzut oka przypominają trochę gmachy wzniesione przez Zillmannów w Katowicach, ale wystarczy im się trochę przyjrzeć, żeby dostrzec różnicę. Powybijane szyby, niedomykające się okiennice i ślady po myszkujących tu złodziejach. Nawet za dnia nikt by raczej szabrującym nie przeszkadzał, bo choć tuż obok biegnie ruchliwa ulica 3 Maja, to wchodząc na szpitalny dziedziniec-podwórze, każdy jest już zasłonięty od wścibskiego oka obserwatora. Cieszę się, że nie musiałem tu przyjść o zmroku, a Piotr Kuczera, prezydent Rybnika, nie przestaje mi opowiadać o tym, jak to miejsce będzie wyglądać w przyszłości. Budynki zostaną wyremontowane. Służyć będą celom zdrowotnym i kulturalnym, a przylegający do dawnego szpitala park Bukówka zostanie otwarty na miasto. Także dosłownie, bo zniknąć ma oddzielający tu miejsce od otoczenia mur.

Z rozmachem

Najważniejszy gmach, czyli Juliusz (nazywa się tak samo jak cały kompleks), ma być przebudowany tak, by służyć celom kulturalnym. W środku będą urządzone sale konferencyjno-dydaktyczna oraz ekspozycyjna. Drugi budynek, czyli Rafał, ma zostać zagospodarowany we współpracy z Ministerstwem Infrastruktury i Rozwoju, zaś tam, gdzie obecnie znajduje się parking, planuje się urządzenie kwartału senioralnego. Jeśli wszystko się uda, to powstaną tu mieszkania dla starszych osób. W kompleksie miałyby też powstać muzeum przyrodnicze. Rozważane jest ponadto przeniesienie na teren kompleksu Domu

Dawne i współczesne
spojrzenie na szpitalny
kompleks. Obok malarski
wizerunek jego współtwórcy,
czyli Juliusza Rogera,
autorstwa rybnickiego artysty
Jana Karwota.

Pomocy Społecznej, który obecnie mieści się w dawnym hotelu robotniczym. Na tym nie koniec planów, bo w budynku po oddziale dermatologii miałoby zostać urządzone centrum wsparcia rodziny z punktem informacyjnym i świetlicą, gdzie prowadzone byłyby zajęcia dla dzieci.

Część potrzebnych na wykonanie tych prac pieniędzy ma pochodzić z unijnych dotacji, o pozostałe trzeba się postarać. Wstępne szacunki mówią o 12 mln zł, choć wcześniej wymieniano też kwotę kilka razy wyższą. Dla miasta wielkości Rybnika (140 tys. mieszkańców) to sporo. Pieniądze nie są zresztą jedynym problemem, z jakim muszą się zmierzyć władze Rybnika, bo sceptyczna jest część radnych, a jeden z najważniejszych budynków całego kompleksu, w którym niegdyś znajdowała się szpitalna kaplica, należy do lokalnego stowarzyszenia.

Prezydent Rybnika jest jednak dobrej myśli. Zdaje sobie sprawę z tego, że kolejna szansa na uratowanie Juliusza może już się nie nadarzyć. – I co wtedy odpowiemy tym, którzy zapytają, dlaczego byliśmy beczynni? – zastanawia się gospodarz Rybnika.

Po co ogrzewać puste ściany

Jeszcze zanim rozpoczęła się kadencja obecnych władz miasta, kilka lat stracono na dyskusje i spory. Urząd Marszałkowski próbował się pozbyć Juliusza i wystawiał go dwa razy na przetarg. Pierwszy został odwołany, a do drugiego nikt nie przystąpił. Być może sprawiły to wysokie koszty remontu i adaptacji kompleksu. Byłyby nieco niższe, gdyby nie fakt, że część wchodzących w skład kompleksu budynków to obiekty zabytkowe, a ochronie podlega też otaczająca zabudowę zieleni. Miejscowi społecznicy nie tracili nadziei i na dowód, że najważniejszym problemem nie jest brak pieniędzy, ale dobrych rozwiązań, pokazywali, odległe od Rybnika o kwadrans drogi, cysterskie opactwo w Rudach. Po zniszczeniach wojennych piękny niegdyś pałac straszył oczodolami wypalonych okien, aż w końcu sprawę wzięły w swoje ręce władze diecezji gliwickiej. Wyremontowany pałac stał się ozdobą całej okolicy i maszyną napędową Rud, które – z nutką zazdrości – bywają nazywane 28. dzielnicą Rybnika.

Niestety, ponawiane próby uratowania Juliusza wciąż napotykały na przeszkody. Jedną z nich podjął poprzedni prezydent Rybnika i zgłosił chęć przejęcia kompleksu. W tamtych planach na terenie szpitala miał powstać hotel z częścią obsługi biznesu, a w największych budynkach lokale użytkowe oraz pomieszczenia biurowe „z górnej półki”.

Skończyło się na deklaracjach, bo na oddanie Juliusza w ręce miejskiego samorządu Rybnika nie przystał Urząd Marszałkowski. Górę wzięły urzędnicze procedury. Miasto nie chciało przyjąć Juliusza w formie darowizny, ale odkupić go za symboliczną złotówkę. – A co się stanie, jeśli prezydent sprzeda Juliusza? Będą nas wtedy ciągać po sądach i oskarżać o niegospodarność – opierali się urzędnicy marszałka i do transakcji nie doszło.

Marszałka do pozbycia się rybnickich włości skłoniły w końcu wysokie rachunki, jakie musiał opłacać za ogrzewanie pustych ścian, a Juliusza w darowiźnie zgodziło się przyjąć rybnickie starostwo.

Nadzieja, że wraz z przekazaniem Juliusza w ręce lokalnego, powiatowego samorządu nadejdą lepsze dni, nie trwała długo. Dosyc ogólnikowo sformułowane przez starostwo plany dla Juliusza przewidywały nawiązanie do tradycji wytyczonej przez doktora Rogera. W poszpitalnym kompleksie miała być prowadzona działalność społeczna, edukacyjna i ekologiczna. Pojawiły się też propozycje, żeby uruchomić tu dom opieki społecznej, akademik, oddział muzeum albo hospicjum. Ale choć czas mijał, z realizacji tych zamiarów nic

nie wyszło. Starostwo, które ma budżet znacznie mniejszy od rybnickiego magistratu, najwyraźniej nie udźwignęło takiego ciężaru.

Dlatego niedawną uchwałę podjętą przez rybnicką radę miejską wiele osób przyjęło z ulgą. Na jej podstawie prezydent Rybnika dostał prawo do rozpoczęcia starań o przejęcie Juliusza.

Z kampusem się udało

W to, że najnowsze plany nie skończą się tak jak poprzednie, uwierzyłem dopiero, gdy szedłem ścieżką wzdłuż przecinającej Rybnik Nacyny. Mijałem uniwersytecki kampus, mając przed sobą centrum miasta z kompleksem Juliusz, a za plecami zbiornik elektrowni, który miejscowi nazywają Rybnickim Morzem.

Jeszcze kilkanaście lat temu teren dzisiejszego kampusu wyglądał niewiele lepiej niż teraz Juliusz. Tutaj, przy ul. Rudzkiej, też mieścił się szpital. Został zlikwidowany, a w starych murach urządzono Zespół Szkół Wyższych, w ramach którego zamiejscowe ośrodki otwarło kilka dużych uczelni. Skorzystali na tym wszyscy. Najbardziej młodzież, bo przynajmniej część nie musiała wyjeżdżać daleko na studia. Zyskało też miasto, bo miejsce, które pewnie by już zarosło zieleciem, zaczęło tętnić życiem. Na takie drugie życie czeka teraz Juliusz.

Swoją nazwę szpital zawdzięczał Juliuszowi Rogerowi, lekarzowi, którego do swoich dóbr w 1847 roku zaprosił Wiktor I, książę raciborski. Mieszkańców Górnego Śląska dziesiątkowały w tamtym czasie epidemie tyfusu. Dzięki inicjatywie Rogera Wiktor I sfinansował budowę kilku nowych szpitali oraz modernizację tego, który w Pilchowicach prowadzili bonifratrzy.

Roger był nie tylko niezwykłym lekarzem, ale niepospolitym przyrodnikiem-samoukiem. Jako zapalony entomolog odkrył na ziemi śląskiej ponad 400 gatunków chrząszczy. Prowadził ożywioną korespondencję z wieloma światowej sławy uczonymi, pomagał im w ustaleniu i określeniu nazw poszczególnych gatunków, jednocześnie sam publikował prace z tego zakresu. Jego kolekcja owadów, wysoko ceniona przez współczesnych, do II wojny światowej wzbogacała zbiory Niemieckiego Muzeum Entomologicznego w Berlinie.

Szpital dla chorych niewiast

Najpoważniejszym wyzwaniem, jakie stało przed budowniczymi szpitala w Rybniku, okazał się brak pieniędzy, ale z tym akurat Juliusz Roger sobie poradził. Rozesłał listy do wielu osób i po pewnym czasie zewsząd zaczęły napływać drobne wpłaty, w sumie 6 tys. talarów. Pomogła też fundacja Górnos Śląski „Tyfus”, która na prośbę Rogera przekazała 10 tys. talarów, a władze Rybnika oddały bezpłatnie plac pod budowę i sfinansowały zakup cegły. Do dokończenia prac zabrakło jeszcze 3 tys. talarów. Dług spłacił Śląski Związek Kawalerów Maltańskich z siedzibą we Wrocławiu i w zamian w 1871 r. stał się prawnym zarządcą szpitala.

Otwarcia placówki w Rybniku Roger już nie doczekał, zmarł w styczniu 1865 r. w dość tajemniczych okolicznościach podczas polowania w książęcym lesie. Oficjalnie podawano, że Roger dostał udaru, ale według obiegowej opinii zginął od kuli z książęcej strzelby. Trzy lata po tym, jak to się stało, szpital w Rybniku był już prawie gotowy. W „Zwiastunie Górnos Śląskim” z 3 kwietnia 1868 r. ukazała się z tej okazji taka obszerna notatka:

„Kto do naszego miasteczka przyjedzie koleją żelazną, spostrzeże obok ścieżki z dworca do miasta bieżącej, znaczny, jeszcze nie dokończony budynek, którego wieża zdradza przeznaczenie kościelne. Będzie to szpital dla chorych niewiast, gdzie osadzą się Panny zakonne, aby tutaj pilnować chore ubogie niewiasty, które dotąd nie mają w naszej okolicy tak wygodnego przytułku, jak chorzy płci męskiej w klasztorze Pilchowskim. Wielką zasługę u Boga i bliźnich zjedną sobie nie tylko zakonnice, ale i fundatorzy tego domu, między którymi zaś się odznaczał szczodrością, bogobojny, dziś już zmarły lekarz księcia raciborskiego dr Julius Roger, który sobie był przedsięwziął z własnej posiadłości założyć ów instytut. Ten zaś ku wielkiej pomocy będzie naszym ubogim, których liczba osobiście bieżącego roku okropnie wzrosła”.



Kłódka będzie niepotrzebna, a tablica zostanie zdjęta.

W szpitalu znajdowało się początkowo 80 łóżek, ale stopniowo go rozbudowano. Charakterystyczna kaplica powstała w 1894 r. Podczas II wojny światowej placówka uciepiała, jednak zaraz potem, w bardzo prymitywnych warunkach, zaczęto wykonywać tu poważne zabiegi chirurgiczne. Brakowało narzędzi, więc przynosili je, cudem gdzieś zdobyte, lekarze. Przez następne kilkadziesiąt lat szpital przy ul. Rewolucji Październikowej (tak się do końca PRL-u nazywała ul. 3 Maja) służył mieszkańcom miasta. Wykorzystywano każdy skrawek wolnego miejsca. Tam, gdzie mieściły się kiedyś chlewnie, dobudowano pawilon, w którym powstało pogotowie ratunkowe. W 2000 r. wszystkie oddziały przeniesiono do nowego gmachu w Orzepowicach, a obiekt zaczął popadać w ruinę.

51

Prawie jak na Mazurach

Mając za plecami Rybnickie Morze, a przed sobą Juliusza, nie trzeba bujnej wyobraźni, żeby uwierzyć w sens zapowiadanych zmian. Ci, którzy narzekają, że w Polsce nie da się pływać, bo woda jest u nas zbyt zimna, koniecznie powinni wybrać się tutaj, nad stworzony pół wieku temu Zalew Rybnicki. To jeden z największych zbiorników wodnych na Śląsku – przez większość roku raj dla wędkarzy (największy złowiony tu karp miał 30 kilogramów), a latem dla miłośników sportów wodnych. Akwen stworzono, by zgromadzona w nim woda chłodziła instalacje tutejszej elektrowni. Bardzo szybko te zalety odkryli nie tylko spragnieni kąpieli ludzie, ale też ptactwo. W zaroślach wzdłuż brzegów żyje mnóstwo gatunków rzadko spotykanych gdzie indziej. Są tu też ciekawe gatunki mszaków i roślin wodnych. To w tym miejscu, jak na Mazurach, można spotkać np. bociana białego, a ponadto liczne gatunki płazów oraz gąsiora – rzadkiego i objętego ścisłą ochroną niewielkiego ptaka.

Dla mieszkańców Rybnika i okolicznych miejscowości zalew jest miejscem wypoczynku i rekreacji. Nie tylko w nim się kąpią i pływają po nim żaglówkami, ale wzdłuż brzegów jeżdżą rowerami.

Prezydent Kuczera chce połączyć ścieżką rowerową Zalew Rybnicki z centrum miasta.

Rybnik już i tak od dawna ma opinię najbardziej zielonego miasta w Polsce. W centrum ulubionym miejscem spacerów kolejnych pokoleń jest Haasenhajda – park założony w 1888 r. z inicjatywy Juliusza Haasego. Pół wieku później, w 1938 r., w Ogólnopolskim Konkursie Zazieleniania Miast Polskich Rybnik zajął zaszczytne drugie miejsce po Poznaniu. Już wtedy był zaprzeczeniem stereotypów o Górnym Śląsku. Teraz realizacja pomysłu z Juliuszem, szczególnie ta część projektu, zgodnie z którą miałyby tu powstać muzeum przyrodnicze, byłaby kapitalnym dopełnieniem pracy poprzednich pokoleń. ▣

Józef Krzyk

– publicysta, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”

Zbigniew Kadłubek

Chrząszcz (jak) wiersz

Mogę go sobie tylko wyobrazić. A więc go sobie wyobrażam:
W butach myśliwskich do połowy uda stoi nad tym najmniejszym ze stawów
albo jakimś innym dzisiejszego rezerwatu przyrody Łęczczok.

W trzcinowisku przystaje, zamyśla się Julius Roger. Słucha monotonnej melodii samca potrzosa. Lubi ptasi śpiew – szczególnie potrzosa podobnego do wróbla i mazurka (których nie wolno ze sobą pomylić). Lubi właśnie śpiew potrzosa, bo ma krótką frazę. Kocha Roger potrzosa nie tylko za śpiew, ale też za nazwę lacińsko-niemiecką – jak gdyby rymowaną *Schoenichus schoenichus*. Śpiewa potrzos w białym kołnierzyku. *Rohrspatz*, to znaczy potrzos po niemiecku, prezentuje śpiewne miniatury ptasie panu doktorowi. W istocie są to wersety Horacego. Ale nikt o tym nie wie. Tylko doktor Roger, który nocami, z wypiekami na twarzy, przeklada ody Horacego na niemiecki. I zna horacjańską tajemnicę potrzosa i strofy alcejskiej. Tylko doktor Roger tak słucha potrzosa i Horacego:

*Delicta maiorum inmeritas lues
Romane, donec templa refeceris
aedisque labentis deorum et
foeda nigro simulacra fumo.*

*Dis te minorem quod geris, imperas:
hinc omne principium, huc refer exitum.
Di multa neglecti dederunt
Hesperiae mala luctuosae.*

*Za grzechy przodków będziesz, Rzymianinie,
Cierpieć tak długo, aż na plecach Rzymu
Odnowisz bogom zmurszałe świątynie
Oraz posągi szerniałe od dymu.*

*Rządzisz nie mierząc z bóstw mocą twej sily:
Na tym się kończy, ślad wszystko zaczyna.
Wzgardzone bóstwa nieraz już sprawiły,
Że ucierpiała Hesperii kraina.*

[przełożył Jan Sękowski]

Hesperia jest córką rzecznego boga Cebrana (całkiem również możliwe, że wylonila się z Odry). Uchodzi za najśliczniejszą z nimf leśnych. Nie wiem, czy patrzy doktor Roger w jej stronę. Jest bowiem mężczyzną nieśmiałym i bardzo pobożnym. Zakładał jednak, że w samym środku najgłębszego górnośląskiego lasu zobaczył ją nagle. Biegła boso Hesperia po lasach i łąkach należących do dóbr księcia raciborskiego Wiktora I. A Roger zagapiał się często na nią, bo jest przecież poetą. I kocha się w niej. Nazywa ją NATURĄ. Chyba dla niej, dla Hesperii-Natury, nie jestem pewien, napisał ten wiersz, którego dwie ostatnie linijki zacytuje:

*O, die Natur gibt Frueden dir in Fülle,
Nur muß ein Gott in deinem Busen sein!*

*O, jakąż NATURA pełnię daje ci radości.
Jeno mus: w twym sercu jakiś bog gościć!*

Te z pogańska brzmiące wersety świadczą o tym, że Julius Roger z przyrodą związał swą wyobraźnię, swe źródłowe odczucia więzi ziemskich i pewien projekt dotyczący metafizyki lasu. Powyższy fragment to wyraz Rogerowego ekomodlitewnego zafrasowania. Ale zatrzymał się w tej chwili on, pan Roger z dalekich stron, ze szwabskiego Niederstotzingen w sitowiu śląskim.

Rzymianin w jednej osobie i Szwab, i Bawarczyk trochę, i pruski królewski radca dworu do spraw higieny (*der Königliche Sanitätsrath*), i Niemiec, i Ślązak z wyboru, i lekarz z przypadku, i filozof, i okulista, i niedoszły benedyktyn, uczony, badacz języków, pierwszy ekokrytyk; panteista tylko trochę, całkowicie natomiast entomolog, ornitolog i teolog. Powraca w tej jednej chwili nad stawem u Rogera zadurzonego w Hesperii bezczasowe, pośród trzciny przychodzi źródłowe, zdrojowe, czyste. Bezczasowe, z którego wyłonił się ten oto staw, z którego wyłoniła się Odra; beczasowe, z którego wydobył się świat i Górny Śląsk, rybnicka okolica z bukami, raciborska knieja, rudzka głusza, ten krajobraz górnośląski szmaragdowy, zielonkawy, przecudny, a także reszta kosmosu, który egzystuje jak gdyby na krańcach Górnego Śląska.

Zdrowisko myślenia i odczuwania tutaj na tym mizernym i dalekim od higieny i cywilizacji Górnym Śląsku. Na tym Górnym Śląsku niepojętym, zaczarowanym czymś słowiańskim i najbardziej tajemniczym z krain europejskich. Nigdy doktor Roger nie żałuje, że przyjechał na Górny Śląsk, na krawędź Europy i przewidywalnego świata. Ależ to jest niesamowite, ależ romantyczne. Roger nie żałuje, że nie jest w Wiedniu, Paryżu czy na jakimś sławnym uniwersytecie. Albo w Tybindze, w tej klinice, której dyktował zacytowany prof. Carl Wunderlich (1815-1877), Szwab jak Roger, który pierwszy systematycznie stosował w terapii pomiar temperatury ciała gorączkujących pacjentów.

Ale wróćmy ze Szwabii na Górny Śląsk, z kliniki do lasu i rozważań kosmologicznych doktora Rogera nad groblą, bo idą one w jakimś nowym kierunku. Może powtarza do siebie Roger właśnie w tej chwili za filozofem Fichtem: „Nie tyle chciałem czynu, ile woli”. Fichtego, sądzę, mógł Roger czytać. Pragnął się zamknąć w mniszej celi, w gabinecie profesorskim, wśród książek, a został człowiekiem czynu, działania, logistyki sanitarnej, ministrem zdrowia. Jak to jest z ludzkimi wyborami?

Romantyczna na wskroś dusza

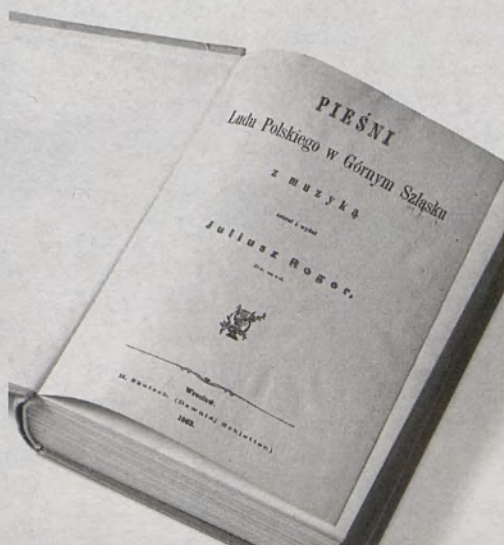
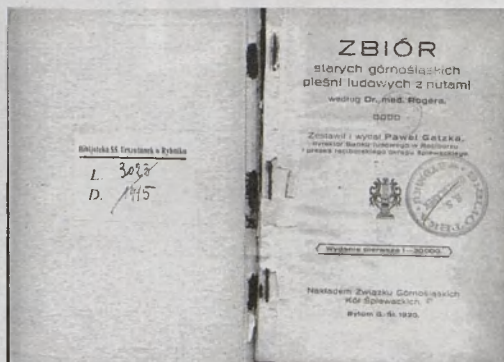
To, co dobrego Roger robił dla innych – szpitale, darmowe wizyty lekarskie, zbieranie po całym świecie funduszy na opiekę zdrowotną w księstwie raciborskim i na całym prawie już dwumilionowym wówczas Górnym Śląsku – było tylko nawiązaniem do dobra i piękna, które go otaczało. Tak może to sobie tłumaczył. Tak to próbuję ja sam zrozumieć. Aktywność Rogera, według mnie, wysnuć można z głęboko przeżywanej wiary: i tej katolickiej, i tej późnoromantycznej, i tej panteistycznej kochającej się w mrówkach, chrząszczach, potrzosach, remizach oraz berniklach. Ale również działania Rogera biorą się z optymizmu naukowego. Chociaż, tak podejrzewam, Roger przymykał oko na zbyt poważne traktowanie osiągnięć ówczesnej nauki. Przeczuwał, że nauka przerośnie nie tylko ludzki umysł, lecz także siły moralne człowieka – i w ogóle człowieczeństwo. Mógł Roger, niemal rówieśnik Ernesta Renana, dowiedzieć się tego z *Dialogów filozoficznych* francuskiego historyzofa. Jakkolwiek dekadę wcześniej wierzył, jeszcze wtedy studiował filozofię w Monachium, w totalne zbawienie świata poprzez naukę – niczym Comte – i podpisałby się pod dziełem Renana pt. *Przyszłość nauki* (1848). Mógł także niezależnie od Renana dojść do tej konkluzji, że „analiza to wojna”, a zatem szukał, jako romantyczna na wskroś dusza, wielkiej syntezy, wiedzy o wszystkim, która łączy, nauki holistycznej, która niuanse poważnie traktuje, o mniejszości troska się, malusieńkie widzi, drobinki zbiera.

Kto wie, gdyby miał lepsze zdrowie, zostałby Roger czarnohabitym mnichem w Monasterium Ottoburanum. Zajmowałby się i księgami, i ziołami, i Panem Bogiem. I byłby bardzo szczęśliwy. Dużo medytowałby, scalałby i ocalał wiedzę na modłę średowieczną jako romantyk zarazem i pozytywista. Lubił przecież *vita contemplativa* – pociągały go stare, omszałe murzyska tego klasztoru w Górnej Szwabii (konwent powstał w VIII wieku). W 1834 roku Ludwik Bawarski założył klasztor na nowo. W tych stronach urodził się inny słynny na Górnym Śląsku szwabski lekarz – Sebastian Kneipp, którego znają wszyscy amatorzy hydroterapii i który otaczany jest wciąż w Kamieniu Śląskim po dziś dzień.

Gdyby Roger został mnichem zaraz po ukończeniu Gimnazjum św. Stefana w Augsburgu, czyli w wieku 20 lat, traktowałby naukę inaczej. Tak mi się wydaje. A może tak



Julius Roger.



samo, bo i do Ottobeuren docierały przecież nowinki przyrodoznawcze. Trzeba jednak pamiętać, że trochę inaczej traktuje wiedzę katolik, a trochę inaczej protestant. Wszystko jedno: o postawie Rogera zdecydowała jednak jego chęć ratowania świata. I jeszcze coś, bo jestem niemal pewien, że umiał Roger na pamięć ten fragment Reguły św. Benedykta z Nursji, gdzie mówi się o pierwszym stopniu pokory: „Primus itaque humilitatis gradus est, si timorem Dei sibi ante oculos semper ponens oblivionem omnino fugiat”. „O pierwszym stopniu pokory mówimy wówczas, jeśli człowiek ma stale przed oczyma bojaźń Boga i gorliwie się stara o niej nie zapominać” (przeł. Anna Świderkówna). Ale przede wszystkim nosił w sobie Roger, tak mi się wydaje, niemiecką cechę, a raczej cnotę związaną ze *Streben*. Jak pisze Bernard Nuss: „Streben jest czymś całościowym, to znaczy usiłuje ogarnąć wszystkie dziedziny dostępne duchowi”. I nieco dalej ten sam autor dodaje: „Streben rodzi łagodną melancholię, ponieważ uzmysławia upływ czasu. Towarzyszy jej bezustannie dotkliwa świadomość ulotności sukcesu i nietrwałości tego, co przyjemne”. Cierpliwość i pracowitość benedyktyńska mieszczą się w *Streben* – lecz również jakaś nieugiętość, do której domieszana jest kropelka rezygnacji (dzięki czemu *Streben* ma szansę nigdy się nie przerodzić w pychę).

Zabrakło desek na trumny

Ukochanie Horacego, wiedza naukowa i lekarska, predyspozycja zwana *Streben*, benedyktyńska autokontrola, szerokie kontakty z uczonymi bardzo przydały się Rogerowi, gdy zatrudnił go książę raciborski i doktor Julius Roger przyjechał na dotknięty zarazą Górny Śląsk w roku 1847. Tyfus, zwany również obecnie dudem brzuszny, jest chorobą bakteryjną (bakterie podobne do tych, które wywołują tzw. salmonellę). Sprzyjają tyfusowi złe warunki sanitarne i niedożywienie. Na Górnym Śląsku tyfus rozprzestrzenił się głównie w okręgu rybnickim i pszczyńskim. Pandemiczne zarazy nie były czymś rzadkim w XIX wieku. Na początku lat trzydziestych XIX wieku panowała na Górnym Śląsku i w innych prowincjach pruskich cholera, która zabrała w samym roku 1831 blisko 33 tysiące ofiar. Jedną z przyczyn tyfusu był brak higieny i głód, jak już zaznaczyłem. Muszę przypomnieć, że złe warunki pogodowe – kilkumiesięczne ulewy – niszczyły dwa lata z rzędu uprawy ziemniaków na Górnym Śląsku, a rząd pruski upierał się przy sadzeniu właśnie ziemniaków, widząc w tym szansę wyeliminowania klęsk głodu wśród swych obywateli na wschodnich krańcach państwa.

Gdy Roger przybył na Górny Śląsk, ludzi umierało dużo. „Schlesische Zeitung” z 3 lutego 1848 roku pisał, że „w Żorach śmiertelność jest tak wielka, że zabrakło desek na trumny”. Pracował, poświęcał się doktor Roger – zobaczył nędzę, jakiej jeszcze nie widział. Zdawał sobie jednak sprawę, że rozwiązania muszą dotyczyć przyszłości, muszą być perspektywiczne, a nie tylko nastawione na zwalczanie fali zakażeń tyfusem. Zakładał zatem szpitale, przekonywał ludzi, księcia Wiktora, znajomych z Europy, żeby pomagali, żeby przysyłali pieniądze. Nie dookończył przed śmiercią – jak wiadomo – swego dzieła lekarskiego największego: szpitala rybnickiego przeznaczonego „dla osób żeńskich pochodzących z Górnego Śląska bez względu na przekonania religijne”. Novalis, wczesnoromantyczny poeta, pisze, że „poezja jest wielką sztuką transcendentalnego uzdrawiania. Poeta jest więc transcendentnym lekarzem”. Roger był lekarzem fizycznym i metafizycznym. Miał przedziwny i poetyczny ten medyk kontakt z siłami Życia.



Chrząszcz zwany *Stenus rogeri* nosi imię Rogera; można go spotkać w lesie pod opadłymi liśćmi.

Julius Roger przypomina mi Ernsta Jüngera. Zaraz wytłumaczę dlaczego. Chodzi o Życie właśnie i tajemną więź z siłami potężnej Natury. Oraz umiejętność czytania z Księgi Życia. Nad wodami Nilu pewnego razu Ernst Jünger, entomolog i literat, czyli ktoś podobny do doktora Rogera, przyglądał się pilnie skarabeuszom. Pomyślał sobie: „Czy życie skarabeusza sprowadza się do zawiadywania gnojem?”. Nie, to raczej niemożliwe, musiało mu przejść przez głowę. „Nie może być – rzekł Jünger do siebie – już zewnętrzna postać skarabeusza zbyt bogato się prezentuje, zbyt okazale. A nawet ta powaga, z którą idzie do pracy, zdradza pewną wiedzę, która sytuuje się przed każdą nauką”. I właśnie umiejętność czytania i liter, i insektów podobnych do liter przecież, daje Rogerowi przewagę nad każdym uczonym i każdym lekarzem. Roger zbadał podobno i opisał około 400 gatunków chrząszczy. Grecki przyrodnik *stenós* (akcent na ostatnią sylabę) znaczący cienki albo wąski. Chrząszcz zwany *Stenus rogeri* nosi imię Rogera; można go spotkać w lesie pod opadłymi liśćmi, w gnijących szczątkach roślin, a także na takich podmokłych łąkach, jak te z rezerwatu Łęczczok. Z kolei *Orthoperus rogeri* to chrząszcz mycetobioontyczny, czyli żyjący w grzybach nadrzewnych. Roger prowadził swoje entomologiczne badania systematycznie. Napisał traktat o górnośląskich chrząszczach (1856), o górnośląskich mrówkach (1857) i rzecz poświęconą skrzydłom chrząszczy. Był też zapalonym ornitologiem. Jak Tereusz mityczny uganiał się Roger za ptakami; słuchał górnośląskich ptaków, słuchał górnośląskich pieśni.

Do ziemi należy każdy dźwięk

Spisywał pieśni śląskie – dyktowali mu różni ludzie. Sporo podyktowała mu Emma Ohl (Prokne Rogera-Tereusza?), która była zatrudniona na dworze księcia Wiktora, a pochodziła z Boronowa koło Lublińca. Słuchał tych śląskich pieśni tak jak słuchał potrzosa, tak jak badał chrząszcze i mrówki. Miał głęboką świadomość ekologiczną: do ziemi należy każdy dźwięk, mowa, ptasie trele, pojedyncze słowa, cała ta harmonijność i równowaga, całe to przenikanie się kształtów życia i nitek istnienia. Świat jest uporządkowany – jest jak alcejska strofa. I przyroda, i mowa chropowata Górnoślązaków, i małe chrząszczyki *Stenus rogeri* – wszystko razem – to jest dopiero świat. Roger jak gdyby stenografował chrząszczami wąskoskrzydłymi i piórem wszystkie rejestry życia górnośląskiego. Pragnął ogarnąć całość: każdą formę życia i każdy odgłos życia. I śląskie słowa o łabędziu na stawie.

Roger jest raczej wrażliwym myślicielem niż myśliwym, ale bierze często udział w polowaniach urządzanych dla gości i przyjaciół książęcego dworu. A pod Rybnik i Racibórz zjeżdża polować towarzystwo wyborne jak do dziewiczej Kanady: profesorowie oksfordzcy, stara arystokracja. Bo piękne tu lasy, i pierwotnością, i dzikością tchnie ta ziemia. Zginął chyba jak romantyk Julius Roger. Nagle, gwałtownie, dramatycznie, trzy lata po wydaniu książki ze śląskimi pieśniami, dokładnie 7 stycznia 1865 roku pod Kozłowem niedaleko Gliwic (dzisiaj gmina Sośnicowice) w czasie polowania. I jak lekarz – ratując życie. Zasłonił własną pierś pięknego jelenia, do którego strzelał któryś z książęcych gości, a może sam książę Wiktor Moritz Karl von Hohenlohe-Waldenburg-Schillingsfürst. Zobaczył na piersi czerwień doktor Roger, a potem Pana Jezusa. Nie mówię, że tak było, ale że mogło tak być. Życie w najistotniejszym aspekcie. ■

Zbigniew Kadłubek

– filolog klasyczny, komparatysta, pisarz, tłumacz,
profesor Uniwersytetu Śląskiego

Krzysztof Karwat

Godula albo Diabeł z Rudy

dramat w dwóch częściach (fragmenty)
pamięci Zbyszka Grucy

57

Carolus Godulla

Kościół Najświętszego Serca
Pana Jezusa w Bytomiu-Szombierkach

SCENA I

Rok 1848. Wrocław. Apartament w hotelu Pod Złotą Gęsią. Wieczór. Na pierwszym planie sporych rozmiarów podróżny kufer. Z tyłu wielkie okno. Zza okna dochodzą okrzyki: „Chcemy pracy, godnej płacy! Chcemy jeść!”.
DOKTOR bada *GODULĘ* (67 lat). Kilka razy uderza go pięścią w łędźwia, *GODULA* krzyczy z bólu.

DOKTOR

po namyśle

Panie Godula, nie chcę ukrywać przed panem prawdy. Rokowania nie są dobre.

GODULA

Bez pana pomocy to wiem. Czuję!... Nie po to przyjechałem do Wrocławia, żeby wysłuchiwać takich głupstw.

DOKTOR

Nephrolithiasis to ciężka sprawa. Najgorsze są nawroty.

GODULA

szyderczo

Nephrolithiasis...

DOKTOR

Albo urolithiasis. Nie ma najmniejszych wątpliwości, ma pan bardzo chore nerki.

GODULA

Wymyślił!... Od miesiący sikam krwią. Co zjem, to wymiotuję. *(uderza łaską w stół)* Do diabła, niech pan w końcu coś zrobi, doktorze!

DOKTOR

Powiem krótko, medycyna jest bezradna. Przykro mi, panie Godula.

Cisza.

GODULA

W takim razie niech mi pan przynajmniej skróci cierpienia.

DOKTOR

Co?!... Jak pan to sobie wyobraża?

GODULA

No chyba są jakieś lekarstwa na złagodzenie bólu?

DOKTOR

Będę się konsultował z kolegami.

GODULA

Prędzej wyzionę ducha! Gdybym ja *(przedrzeźnia DOKTORA)* „konsultował z kolegami”, co należy do moich obowiązków, to dzisiaj bym na hałdzie mieszkał.

DOKTOR

Zaleciłem przecież panu kąpiele w solach. Ciepłe, nawet gorące...

GODULA

Ile można w wodzie siedzieć? To nie pomaga!

DOKTOR

wręcza *GODULI* apteczny flakon

Panie Godula, spróbujemy jeszcze tego. To są nowe zioła, specjalnie je dla pana przygotowałem.

Wychodzi.

Z przeciwnej strony pojawiają się EMILIA i JOANKA. EMILIA wybucha płaczem.

GODULA

wpatrzony w flakon

Lukasowo! Przestoń mi sam ślimtać i dziółcha straszyc!

Wchodzi SCHEFFLER, z gazetą w ręce.

SCHEFFLER

Dobry wieczór, Karolu. Jak się czujesz? Na schodach minąłem doktora Frischa...

GODULA

A jak się mogę czuć, Maks? Zbliża się koniec.

EMILIA płacze jeszcze głośniejsze.

GODULA

Emilio, nie płacz. Dobra z ciebie gospodyni. Pamiętaj, o Joankę dbaj.

EMILIA

lkając

Panie Godula, przecież pan wie, że Joanka jest dla mnie jak córka.

JOANKA

tuląc się do EMILII

Ciotka Milka, czemu płakosz?

EMILIA

Nic, nic, dziółcha. Cicho...

GODULA

do EMILII i JOANKI

Późno już. Zostawcie mnie, moje panie. Muszę porozmawiać z panem Schefflerem.

EMILIA i JOANKA wychodzą.

GODULA

Maks, co na ulicach?

SCHEFFLER

Dużo spokojniej niż w Berlinie. Z pewnością słyszałeś, że w marcu tłum ruszył tam na wojsko. Krzyczeli, że chcą wolności i lepszych zarobków. Z Moabitu więźniów wypuścili. Zginęło dwustu rebeliantów. To się musiało tak skończyć! Trzy tygodnie temu robotnicy ze studentami na arsenał napadli i broń wzięli. Na szczęście Gwardia Narodowa wiedziała, po której stronie stanąć. Wojsko już zapowiedziało, że jest gotowe do obrony króla



Tzw. domek Goduli w Rudzie.
Prawdopodobnie legendarny
przedsiębiorca mieszkał jednak
kilkadziesiąt metrów dalej, a jego
domostwo było bardziej okazałe.

59



i ojczyzny. 1848... Przeklęty rok! Mówię ci, ludzie go kiedyś wykreślą z historii.

GODULA

Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież gwałtem niczego się nie osiągnie.

SCHEFFLER

To ci cholerni Francuzi. Oni podpalili całą Europę!

GODULA

A co piszą w gazetach?

SCHEFFLER

W „Schlesische Zeitung” straszą, że to jeszcze nie koniec rewolty. Wyobrażasz sobie? Ty możesz być spokojny. Na Górnym Śląsku robotnicy też się trochę burzą, ale nie w twoich zakładach. Przecież jako jedyny nie zamknąłeś ani jednej huty, ani jednej kopalni. Mimo takich strat! I za darmo deputaty żywnościowe kazałeś wydać.

GODULA

O pieniądzu się nie martwię. Obawiam się tylko, że... Muszę decyzje podjąć. Testament spisać.

SCHEFFLER

Zobaczysz, jeszcze wydobrzejesz. We Wrocławiu lekarze mają większe możliwości.

GODULA

Nie wspominaj mi o tych szarlatanach!... Są ważniejsze sprawy. Przyjacielu, masz i pilnuj.

Wręcza SCHEFFLEROWI klucz.

SCHEFFLER

Co to jest?

GODULA

Klucz, Maks. Po mojej śmierci otworzysz ten kufer. I wszystko zniszczysz.

SCHEFFLER

Zniszczyć? Co?!

GODULA

Jestem zmęczony. Jutro ci wytłumaczę. (wskazując na kufer) Pamiętaj, po mojej śmierci!

Wychodzi.

SCHEFFLER chowa klucz do kieszeni. Po chwili, nie mogąc powstrzymać wzbierającej w nim ciekawości, otwiera kufer. Wyciąga papiery, przegląda je z rosnącym zainteresowaniem.

A to co?! „Karol Godula. Dziennik życia mego”. Prawdziwy diabeł! Nikomu się nie przyznał, że go pisał. (otwiera brulion, przegląda, czyta) Makoszowy. Rok 1798. Lipiec...

SCENA II

Rok 1799. Makoszowy. Lipiec. Wiejska zabawa po żniwnym. Tłum wieśniaków, dorosłych i młodzieży. Gra kapela.

WIEŚNIACY

śpiewają

W makoszowskim dworze
Zielyni się trowka,
Paśła tam dziyweczka
Maluśkego pawka.

Tyn maluśki pawik,
Bardzo łospieszczony,
Potargoł dziyweczce
Fortuszek czyrwony.

Niy mojać to wina
Ino mamulczynna,
Boć mie niy karali,
Jakżech mało boła.

Rosłazech jo, rosła,
Jako w lesie sosna,
Utraciolach wianek
Z samiutkego złota.

Tańczą, piją. W tańcu prym wiedzie GODULA (18 lat).

MŁODZIENIEC 1

Widzicie tego Karlika łod Goduli? Jak to wywijo! Istny diobol! Łobejrzycie, kiej jo mu zaroz wywina. (popija) Wielgi pon! Udowo, co je lepszy łod nos. Jego siostra za szlachcica poszła, to mu sie zdo, że łon tyż je tera szlachcic.

DZIEWCZYNA 1

U cystersów, w Wielkich Rudach sie szkoloł, to pewnikiym ksiyndzym łostanie. Jeszcze bydziesz sie go prosiol o rozgrzyszynie.

MŁODZIENIEC 1

Jo mom duszyczka czysto.

DZIEWCZYNA 1

Ino myśli kudłate.

DZIEWCZYNA 2

Szkoda by go było na ksiyndza. Gryfny z niego karlus.

MŁODZIENIEC 2

Szkoda to go bydzie, jak po pysku dostanie.

DZIEWCZYNA 2

A co ci złego zrobiol?

MŁODZIENIEC 2

Mie nic. Godajom, że po lasach łązi i wnyki, co je nasze komorniki stawiajom, łotwiyro. A zajonce wypuszczo.

DZIEWCZYNA 1

Dobrze, co grofowi Ballestremowi nic niy pedzioł
to tych sidłach.

MŁODZIENIEC 1

Kaj by mu miol pedzieć? (*śmiejąc się*) We dworze,
przy wieczerzy?

MŁODZIENIEC 2

Ja, łoni go pewnikiy wpuszczom do dwora.
(*śmiejąc się*) Ino dziepiyro, jak do grofa z olyjami
świyntymi przidzie.

MŁODZIENIEC 1

Karlik ksiyndzym niy bydzie. Zarozki łostanie bi-
skupym!

MŁODZIENIEC 2

Niy, łon niy bydzie miol czerwonyj kiecki. Łon by-
dzie miol czerwono gymba, jak po niyj dostanie.

DZIEWCZYNA 2

Ty już mosz czerwono. Ino że z gorzoły! Niy, łon
mi na kapelonka niy wyglondo. Godajom, co sie na
myśliwca, jak jego łojciec, wybiyro. I na krowach
sie zno, na łowcach, na cołkij gadzinie. Na pszczo-
łach tyż.

MŁODZIENIEC 1

Co by go ino jako w rzić niy użarła.

MŁODZIENIEC 2

Abo jeszcze kaj indzij. A to ponoć bardzo boli.

DZIEWCZYNA 2

Pierzińskie świntuchy!

DZIEWCZYNA 1

Mie sie tyż niy widzi, co by łon ksiyndzym miol
łostać. Moja młodszo siostra godała, że w nie-
dziela na sumie to Karlik sie wcale na ołtorz niy
patrzoł.

MŁODZIENIEC 1

Ino na ta waszo koza.

DZIEWCZYNA 1

Jako zaś koza? My niy momy żodnyj kozy.

MŁODZIENIEC 1

Przeca pedziałaś, co sie Karlik na nia w kościele
patrzoł.

MŁODZIENIEC 2

do DZIEWCZYNY 1

A niy przydołby sie wom w chałpie jeszcze jaki by-
czek?

Porywa DZIEWCZYNE 1 do tańca. Za nimi ruszają po-
zostali.

MŁODZIENIEC 2

do GODULI

Te, Karlik! Przestoń tak wywijać.

MŁODZIENIEC 1

Niy słyszy. Łon już po naszymu niy rozumiy.

MŁODZIENIEC 2

Te, Karol! Guchyś?

GODULA

Suchom?

MŁODZIENIEC 2

Sucho to my momy w gymbie.

MŁODZIENIEC 1

Suchej brzuchym, a niy uchym.

MŁODZIENIEC 2

Przyniyś nom co do picio.

GODULA

Parobka szukocie? Wróćcie sie do dom, może tam
kaj jaki siedzi?

MŁODZIENIEC 2

Trzimejcie mie, bo mu zaroz...

Chwyta GODULĘ za kłapy surduta, dochodzi do szarpa-
niny. GODULA skutecznie się broni.

DZIEWCZYNA 2

Dejcie pokój. Bitki nom tu niy trza.

DZIEWCZYNY rozdzielają bijących się.

DZIEWCZYNA 1

do DZIEWCZYNY 2

Wiysz co? Jo tyż myślałach, że łon już po naszymu
niy godo.

Muzyka. Wracają do tańca. Opuszczają scenę.

SCENA VIII

Rok 1808. Ruda. Folwark. W tle zadymiony krajobraz.
Wieśniacy wnoszą snopki zboża. Młócą cepami.

WIEŚNIACY

śpiewają

Śtyry lata wiernie służył

Gospodarzowi:

Sieczke cion, niy wieczerzoł,

Niyhże som powiy.

A to wszystko dło tyj panny,

Miło mu boło,

Bo sie serce jako smoła

Do niyj lepiyło.

Pojawia się GODULA (27 lat), ma zabandażowaną
twarz. Odstawia kulę, próbuje chodzić. Potyka się. Wstaje,
uparcie ponawia próby. Wchodzi BALLESTREM, rusza

w kierunku GODULI. Ten, zauważając hrabiego, chce się wycofać, ale upada. BALLESTREM pomaga mu się podnieść.

BALLESTREM

Karolu, pokaż się. Nie widzę... W tej naszej Rudzie nawet słońce blade świeci.

GODULA

Panie hrabio, chce mnie pan do cyrku najać?

BALLESTREM

Nie obrażaj się. Nie tylko twój ojciec tak ciężko ten wypadek przeżył. Myślisz, że mnie nie jest przykro?

GODULA

milczy

BALLESTREM

próbując poklepać GODULĘ po ramieniu

Jak to mówią: do wesela się zagoi.

GODULA

Co też pan!

BALLESTREM

reflektuje się

Nigdy nic nie wiadomo.

GODULA

milczy

BALLESTREM

żołnierskim tonem

Jak to możliwe, że nie złapano tych bandytów?!

Niczego nie pamiętasz?

GODULA

milczy

BALLESTREM

Masz rację. Dajmy spokój. Co się stało, to się nie odstanie.

GODULA

milczy

BALLESTREM

A co tu słyszać w Rudzie? W naszym folwarku?

GODULA

Krowy jakieś takie wychudzone, jakby im żreć nikt nie dawał. Zboża też marne. (*bierze snopek i podaje BALLESTREMOWI*) Sam pan hrabia widzi. Czy to w ogóle przynosi dochód?

BALLESTREM

Właśnie o to chodzi, że nie. Ziemie liche, zimy ostre. Nie to, co w Italii. Uwierzysz? Nieraz aż tęsknię, bo z Italii przecież mój ojciec pochodził. (*nuci włoską pieśń*) Na dodatek chłopci tu ciągle gorzałę chleją. Z batem musiałbyś chodzić.

GODULA

Porządek musi być. A batem nieraz wystarczy tylko pogrozić. (*zapala się*) Panie hrabio, czytałem, że

w Italii po łąkach chodzą owce inne od naszych. Merynosy je nazywają. Lepsze mięso dają, więcej mleka i wełna mocniejsza.

BALLESTREM

Merynosy, powiadasz?... Tu by pozdychały.

GODULA

A próbował pan, majorze? Tyle że całe stado trzeba by sprowadzić. Szopy pobudować. Gadzina nie może z kmiciami w jednej izbie siedzieć.

BALLESTREM

No, dobrze. Zobaczymy...

GODULA

zapala się jeszcze bardziej

A co z węglem, panie hrabio?

BALLESTREM

Przecież mamy węgiel.

GODULA

Ale za mało.

BALLESTREM

No, to staraj się o nowe nadania.

GODULA

A galman? A cynk? A mosiądz?

BALLESTREM

Aleś uparty!

GODULA

To jest przyszłość. Trzeba własną cynkownię postawić. O koncesję się starać. Kilka lat na to zejdzie.

BALLESTREM

podając dłoń GODULI

No, dobrze. Zgadzam się. Kto wie, może coś po nas zostanie na tym przeklętym Górnym Śląsku?

Wychodzą.

WIEŚNIACY

śpiewają

Śtyry lata wiernie służył

Gospodarzowi:

Sieczke cion, niy wieczerzoł

Niy chże som powiy.

W krainie zielonej aż do łez

63

Górny Śląsk to nie tylko ziemia poprzecinana bliznami industrializacji. Hans Niekrawietz pisał: „Dolina Odry (...) różni się (...) od reszty regionu. Wypełnia ją cicha, tajemnicza melodia, której dźwięki rozpozna jedynie szczególnie wrażliwy słuchacz. Raciborski krajobraz rodzinnych stron Eichendorffa spływa słabnącymi falami pagórków coraz niżej i niżej, mija port w Koźlu, by wreszcie rozlać się w ciszę odrzańskiej równiny. Rzeczny nurt szemrze piano, a niesiona przezeń cisza nabrzmiewa akordami kolejnych doływów”.

Nie podążymy, jak opolski pisarz, za szumem Odry, lecz za dźwiękami duchowej rzeki tego krajobrazu, która – wypływając z różnych kulturowych źródeł – niesie literackie i poetyckie obrazy „śląskiej zieleni”. Nie zapomnijmy przy tym, że owe obrazy zmagać się muszą z naszymi wyobrażeniami o ziemi duszących oparów i trujących dymów, pokopalnianych hałd i czarnych niczym smoła rzek. A także z takimi opisami, jakie pozostawił choćby Arnold Zweig, który co prawda urodził się w roku 1887 w Glogau (Głogów), ale w latach 1896–1907 uczęszczał do katowickiego gimnazjum. W jego szkicu z 1920 roku, zatytułowanym *Górnośląskie motywy*, czytamy: „Znam ten krajobraz (...). Ta drażniąco ascetyczna i surowa kraina, zdegradowana do otoczenia dla przemysłu, do otoczenia miast (...), które pracowicie wgrzyzały się w uprawne pola i piękne lasy jak choroba żyjącej ziemi, ohydna jak świerzb. Pofałdowana równina, spokojne strumienie, gęsty wysoki las sosen i szlachetnej buczyny i uciekający w dal horyzont; krajobraz o śląskiej łagodności, ubogi i w najmniejszych szczegółach piękny jak wszelka ożywiona natura – to są przestrzenie biedy i wdzięku wokół wzniesionych przez człowieka mieszkań i warsztatów pracy; ale same te budowle, podobne do żrących gazów, które zaczerniają i żółcą zieleni drzew, koncentrują w sobie i obrazują zaprawdę symbolicznie wrogość hut do żywotnego życia, bez śladu pociechy, jaką daje piękno”.

Wśród uroczych pagórków i cudownych łąk

A jednak owe „ślady pociechy” nie były tej ziemi obce, skoro z początkiem XIX stulecia pochodzący z Oppeln (Opole) medyk i nauczyciel Georg Philipp Mogalla przyczynił się do odkrycia i spopularyzowania dolnośląskich źródeł Bad Warmbrunn (Cieplice Śląskie-Zdrój), Bad Flinsberg (Świeradów-Zdrój) i Bad Landeck (Łądek-Zdrój), wspierał ich rozwój, piastując stanowisko naczelnego lekarza przy wrocławskim Śląskim Instytucie Bractwa Górniczego, a następnie, od 1803 roku, królewskiego radcy medycznego. Na górnośląskie źródła przyszło co prawda nieco poczekać, ale i one przecież w końcu powstały. Oto po odkryciu solanki jodowo-bromowej, podczas prowadzonych w 1859 roku wierceń w poszukiwaniu węgla, hrabia Felix von Königsdorff nabył część Jastrzębia i rozpoczął budowę obiektów leczniczych, zmieniając nazwę miejscowości na Bad Königsdorff-Jastrzemb. Mniej więcej w tym samym czasie rozbudowano Bad Goczalkowitz (Goczalkowice-Zdrój), gdzie leczono choroby ortopedyczno-urazowe, reumatologiczne i układu nerwowego.

Zielone piękno dawało więc pociechę i przynosiło ulgę w cierpieniu. Pod koniec XIX wieku te dwie miejscowości przeobraziły się w nowoczesne uzdrowiska. Dzięki połączeniu kolejowemu można tu było wygodnie dotrzeć z Wrocławia, Berlina oraz – na trasie „C.K. Uprzywilejowanej Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda” – z Wiednia, Pragi czy Pesztu. Na jednej ze starych ulotek czytamy: „Z dala od znanych nam wszystkim chmur dymu i kurzu Górnego Śląska, a także jego oszalałego przemysłu, przed oczyma kuracyjnego gościa (który w te strony przybywa raczej ze średnimi oczekiwaniami) ukazuje się w swym prawdziwie idyllicznym pięknie Bad Königsdorff-Jastrzemb (...). Ta miejscowość uzdrowiskowa położona jest na terenie bogatym w źródła, wśród uroczych pagórków, cudownych łąk i zadziwiających swym urokiem skupisk drzew, i niemal graniczy z pięknie urządzonym Śląskiem Austriackim. Widok na oddalone zaledwie o kilka mil Beskidy i Karpaty (...) jest wprost fantastyczny (...)”.

Pozostajmy jednak po „naszej” stronie zielonego Górnego Śląska, a jeśli już mamy się w tę zieleni poetycko wsłuchiwać, to podążmy do podraciborskich Łubowic. I niech w podróży tej towarzyszy nam Horst Bienek, który przed swą ostatnią wizytą na Górnym Śląsku, pod koniec lat 80., napisał: „Chcę pojechać do Łubowic, do Eichendorffa (...). Wiem, że stary zamek w Łubowicach spłonął w marcu 1945 roku, podobno została tylko ruina. Mimo to jednak chciałbym obejrzeć ten tak często opiewany przez Eichendorffa krajobraz, dowiedzieć się czegoś o *genius loci*, nawet po tak długim czasie. Chcę zobaczyć błękitne Beskidy, które młody Eichendorff oglądał z okien pałacu, łąki i polne drogi, którymi chodził, berberysy i głóg, których kwiaty już on oglądał, srebrzystą Odrę w popołudniowym świetle, gdy otula ją podnosząca się mgła wieczornego zmierzchu. Ktoś odszedł



Nazwy miejscowości są symbolem dwujęzyczności, jaka tu przez wieki panowała.

stąd, odszedł w świat, aż do Halle, Wrocławia, Królewca, aż do Wiednia i Rzymu, i dalej w nieskończoną dal, tam gdzie jest ojczyzna Taugenichtsa i tam gdzie nie ma jego ojczyzny, bo w nim jest ciągle tęsknota za czymś innym, czego nie potrafi nazwać”.

Wyruszamy zatem drogą obraną przez Bienka i spod Gliwic udajemy się w kierunku Sośnicowic, miasteczka, które już w swej nazwie – od niedawna na powrót także tej niemieckiej: Kieferstädtel – przypomina nam o potężnych lasach sosnowych, jakie się tu niegdyś musiały rozciągać. August Scholtis, który w 1901 roku urodził się w tonącej wśród zieleni wsi Bolatitz (Bolalice), oddalonej od Łubowic o niespełna dwadzieścia kilometrów, tak oto opisywał w 1961 roku swoje wrażenia z drogi prowadzącej z Sośnicowic przez Rudę Raciborską do Łubowic: „Okolica staje się wdzięczna, przypominają mi się wzgórza nad Wezerą. Chłopi orzą ziemię, nie traktorami jednak, ale końmi; zastanawiam się chwilę, czy nie nawiązać z którymś z nich rozmowy. Na moją prośbę szofer się zatrzymuje, robimy przerwę na papierosa, a ja próbuję mu wyjaśnić, że tę wspaniałą okolicę tutaj poeta Eichendorff swoim śpiewem zaszczerpił niemal każdemu niemieckiemu sercu. Młody Polak okazuje zainteresowanie; o tym pocie słyszał już parę razy i często woził katowickich panów do Łubowic”.

Jadąc tą trasą dzisiaj, nie zauważymy już chłopów orzących ziemię końmi, za to naszą uwagę zwróci inny charakterystyczny element tych okolic. Oto po drodze mijamy dwujęzyczne tablice miejscowości: Sierakowice/Groß Schierakowitz, Sierakowiczki/Klein Schierakowitz, Goszyce/Goschütz, Ortowice/Ortowitz, Roszowicki Las/Roschowitzwald, Nieznaszyn/Niesnaschin, Łany/Lohnau, Błazejowice/Blaschowitz, Sławików/Slawikau... Te nazwy są symbolem dwujęzyczności, jaka tu przez wieki panowała. Dostrzegł to Horst Bienek, który w tomie otwierającym tzw. górnośląską tetralogię wziął w obronę owe nazwy, obco brzmiące dla niemieckiego (a i nieraz polskiego) ucha: „Wyśmiewacie się (...) z kilku nazw miejscowości i miast, gdyż z trudem przechodzą przez wasze twarde gardła. Ale, moi panowie, pomyślcie, to jest kraina historycznie wyrosła między Germanami a Słowianami, Niemcami i Polakami, i każda z tych nazw o tym świadczy... Dla kogoś, kto tu wyrósł, (...) brzmi to jak muzyka (...). Posłuchajcie tej muzyki słów: byłem w Budtkowitz, Jellowa, Knurów, Laurahütte, Malapane, Gogolin, Zaborze, Miechowitz i Groschowitz, Maltschaw, Leobschütz, Deschowitz i Krappitz, Bobrek, Potempa, w Kulisch, Pitschen, Bielitz... Są jeszcze Golkowitz i Kranowitz, Katscher i Bleischwitz, (...) Gwoszdzian i Ciasnau, Alt Schodnia i Tworkau, Skrzidlowitz i Karchowitz, Rudzinitz i Blechhammer, Turawa i Zabrze, (...) te nazwy mają często patriotyczną, niemiecką historię, (...) ten kraj trzeba kochać... ten język, tych ludzi, aby to wszystko zrozumieć”.

Gdy tylko miniemy Bierawę/Birawa, ujrzymy jeszcze wąską w tym miejscu Odrę, którą pokonujemy starym, drewnianym mostem. Scholtis pisał: „Odra, płynąca przez sam śro-

dek tej najpiękniejszej pruskiej prowincji (...), jest niczym granica (...). Na lewym brzegu Odry afirmacja życia. Siła życiowa. Na prawym brzegu Odry fatalizm. Znużenie. Ucisk”.

Hen, po błękitne góry

Od Łubowic dzieli nas niespełna dwadzieścia kilometrów. Wkrótce mijamy dwujęzyczną tablicę rodzinnej miejscowości Eichendorffa. Postawiono ją tu jesienią 2008 roku, co – czy tylko przez przypadek? – zbieгло się z 220. rocznicą urodzin niemieckiego romanistyka. Jeśli z góry (lub też z innej perspektywy) dane mu jest śledzić losy swej rodzinnej krainy, pewnie się uśmiecha. Bo przecież dwujęzyczność nie była mu obca. Eichendorff wcale sprawnie posługiwał się tutejszą gwarą o słowiańskim rodowodzie, w której do dziś nie brak morawskich odniesień, a o fakcie tym zaświadcza choćby adnotacja „Utraquist” na jego świadectwie szkolnym. A mamy jeszcze pamiętnikowe zapiski poety. Pod datą 8 lutego 1807 roku przebywający wraz z bratem w Heidelbergu Eichendorff pisze: „Wieczorem wypuściliśmy się z Wilhelmem (...) na spacer. Gadaliśmy po polsku, co wywoływało zdziwienie wszystkich, którychśmy przypadkiem napotkali”.

Pisarz zbierał ludowe porzekadła i baśnie w obu językach. Jego syn Hermann wspominał po latach, że śląski stał się dla ojca drugim językiem ojczystym. Zresztą w tym czasie zbieranie górnosłańskich podań, baśni, a przede wszystkim ludowych pieśni było w Niemczech w modzie. Czynił to z zapałem poeta August Heinrich Hoffmann von Fallersleben, autor niemieckiego hymnu narodowego, wydając w 1842 roku dzieło *Schlesische Volkslieder mit ihren Melodien*. Ta gorączka dopadła również przyjaciela von Fallerslebena Juliusa Augusta Rogera. Ten pochodzący z odległych okolic Szwabskiej Jury lekarz i przyrodnik, a z zamiłowania etnolog, przyjmując posadę lekarza przybocznego księcia raciborskiego Wiktora I zamieszkał w otoczonym rozległymi lasami Groß Rauden (Rudy Raciborskie) i zachował wdzięczną pamięć wśród Górnosłażaków także dzięki temu, że zainicjował w Rybniku budowę nowego szpitala.

Oto dotarliśmy do Łubowic i z ulicy Zamkowej, która zwała się niegdyś Schlosstraße, skręcamy w prawo. Mijając po lewej siedzibę Górnosłańskiego Centrum Kultury i Spotkań im. Eichendorffa, docieramy do ruin zamku poety. Zielen zakrywa go niemal zupełnie, tak jakby chciała uchronić nasz wzrok od powojennych zniszczeń.

Zamek, zakupiony w 1785 roku przez Adolpha von Eichendorffa, ojca poety, i przebudowany wkrótce w stylu rokokowym, górował niegdyś nad okolicą. Dzisiejszą ruinę otaczają pozostałości parku, który przez cztery powojenne dziesięciolecia służył za dzikie wysypisko śmieci i odpadów biologicznych, z czego skrzętnie korzystali zarządcy pobliskiego PGR-u. W ostatnich dwóch dekadach park zamkowy uprzątnięto, a wzdłuż alejek ustawiono zielone tabliczki z wersami najpiękniejszych wierszy Eichendorffa. Odwiedzając to miejsce, niemiecki dziennikarz, pisarz i obieżyświat Wolfgang Büscher, który piechotą przemierzył i opisał Niemcy, Rosję i Amerykę, tak oto wyobrażał sobie idylliczną codzienność Eichendorffa w tej parkowej zieleni: „W tym oto parku siedział i pisał wiersze. Stawał w oknie ojcowego zamku (...) i wodził wzrokiem po okolicy – patrzył na Odre, na lasy rozciągające się hen po błękitne góry (...). Albo jeździł od wsi do wsi aż po nieodległy Ratibor, wieczorami leżał z przyjaciółmi na sianie i palił fajkę. Plotkował, wędrował, świętował, (...) i flirtował z panienkami z okolicy”.

Na koniec przywołajmy fragment wiersza *Pożegnanie* (w przekładzie Jacka St. Buraś), który niespełna 22-letni Eichendorff napisał krótko po tym, jak w 1810 roku opuścił rodzinne strony i wyruszył na studia do Wiednia: „Doliny wy i szczyty/ Zielony lasie ty,/ Tu przeżywałem skryty/ Radości me i łzy./ Tam, wiecznie czymś mamiony,/ Świat pędzi, czegoś chce:/ Namiocie więc zielony,/ Raz jeszcze przyjmij mnie”.

Eichendorffa uważa się za najbardziej godnego miłości syna górnosłańskiej ziemi. Także dlatego, że – jak powiada abp Alfons Nossol – bodaj żaden z tutejszych poetów nie podsłuchiwał i nie rozumiał tak dogłębnie jak on utajonych głosów natury. Tak, Eichendorff usłyszał szept górnosłańskiej ziemi. Zielonej aż do łez. ■

Marcin Wiatr

– literaturoznawca i tłumacz, pracownik naukowy Instytutu im. Georga Eckerta
ds. Międzynarodowych Badań nad Podręcznikami w Brunzwiku

“

Zamek, zakupiony w 1785 roku przez Adolpha von Eichendorffa, ojca poety, i przebudowany wkrótce w stylu rokokowym, górował niegdyś nad okolicą. Dzisiejszą ruinę otaczają pozostałości parku.



Joseph von Eichendorff

Księżycowa noc

Jak pocałunek nieba
Na ustach ziemi blask.
Więcej jej snom nie trzeba
nadziei, światła, łask.

Wiatr muskał pola sennie,
Drżał ciężki zboża kłos.
Szumiały lasy srebrne,
Gwiazdzista była noc.

Rozpięła skrzydła dusza,
Tęsknotę sycąc swą.
Nad cichą płynie głuszą,
Tam leci, gdzie jej dom.

Strony rodzinne

Mojemu bratu

Pamiętasz tam, na wzgórzu, zamek ów?
Łkał nocą róg, jak gdyby wołał ciebie,
I sarna szła na łów,
I szumiał las, i srebrniał sierp na niebie –
Tak cicho... Abyś mógł usłyszeć siebie
I boleść swych dziecięcych snów.

Pamiętasz ogród? – Wiosną, świtem, wczas,
Tam dziewczę w chłodnej rosie ścieżek chodzi
Samotność siejąc w nas...
I jak kto pieśnią swą tęsknotę budzi,
Tak w śpiewie kwiatów, drzew, nas wiecznie łudzi
Nasz dawny, prześlakany czas.

Korony drzew, niech brzmi wasz szumny jęk!
Ucieczka na nic – wszędy wspomnień sploty.
Jak wierny pies ten dźwięk...
Dotrą do ciebie ojczyste pieśni groty,
A w niej zakłęty ból nasz szczerzoty.
Twój los jak mój: tęsknota, lęk.

Przebiśnięgi

Jakby cicha płynie piosnka
Przez ogrody w taką noc,
Gdzieś z powietrza, tuż przed wiosną:
„Słodkie dzwonki, wstańcie, hoc,
Ciepły idzie czas, niech rosną
Zieleń, światło, marzeń moc.” –
To nie śpiew był. Pocałunek
Przebiśnieżnych dotknął warg.
Więc śpiewają: precz frasunek,
Wnet nastanie przepych barw!
Ale czekać nie umieją...
Śnieg dziś spadł ostatni raz,
Jego bielą już goreją,
Ginąc pod resztkami zasp.
Jak poeci. Ci odchodzą
W męce gorzkich śpiewu prób.
Wiosna, którą śpiewem zbudzą,
Sypnie kwiatem na ich grób.

69

Modlitwa poranna

Jakaż cudowna głębia ciszy,
Jakiż daleki dziś mój ból!
Lasów pokłonu nikt nie słyszy,
Idzie sam Bóg w milczeniu pól.

Jakbym na nowo był stworzony...
Gdzieś jest goryczy, trosko – gdzie?
Tak jeszcze wczoraj zatrwożony,
Dziś składam życie w dłonie Twe.

Przez szczęście i zgryzoty świata
Przejdę jak pielgrzym, śmiało, wprost
– Bo w Tobie, Panie, ma zapłata –
Nad rzeką czasu. Tyś mój most.

A gdybym miał za marne grosze
Śpiewać nie Tobie... To choć drzę:
Roztrzaskaj moją lutnię, proszę,
Wiecznie przed Tobą milczeć chcę.

Wesoły wędrowiec

Bóg, jeśli łaską kogoś darzy,
To pośle go w szeroki świat;
I cuda swoje mu ukaże
Wśród gór i lasów, rzek i chat.

Ospałych, których dom przykuwa,
Ich nie nasyci słońca wschód,
Kołycki mgła im świat zasnuwa,
I bój o chleb, powszedni trud.

Strumyki skaczą z gór radośnie,
Podniebny hymn skowronków trwa,
Więc śpiewam z nimi najdonośniej –
We krwi i w sercu młodość gra.

Dobremu Bogu dzięki, chwała;
On stworzył tęczę, zieleń łąk...
Ho!d Tobie składa ziemia cała,
Nie wypuść, proszę, mnie z Twych rąk!

Pożegnanie

O wzgórze, o doliny!
Zielony, boski las,
Jak krople krwi – maliny,
W rozstania cierpki czas.
Tam w dali, za tym borem,
Zgiełk świata, pustki huk.
Tu cisza. Wiatr wieczorem
Konarów głaszcze łuk.

W odcieniach różu dnieje.
Paruje ziemia. Brzask.
Już ptasi chór przez knieję
Uśpiony budzi blask.
Oddalą się, przeminą
Rozpacz, smętki, ból.
Czy również ty? Czy zgina
Rodzinnych cienie pól?

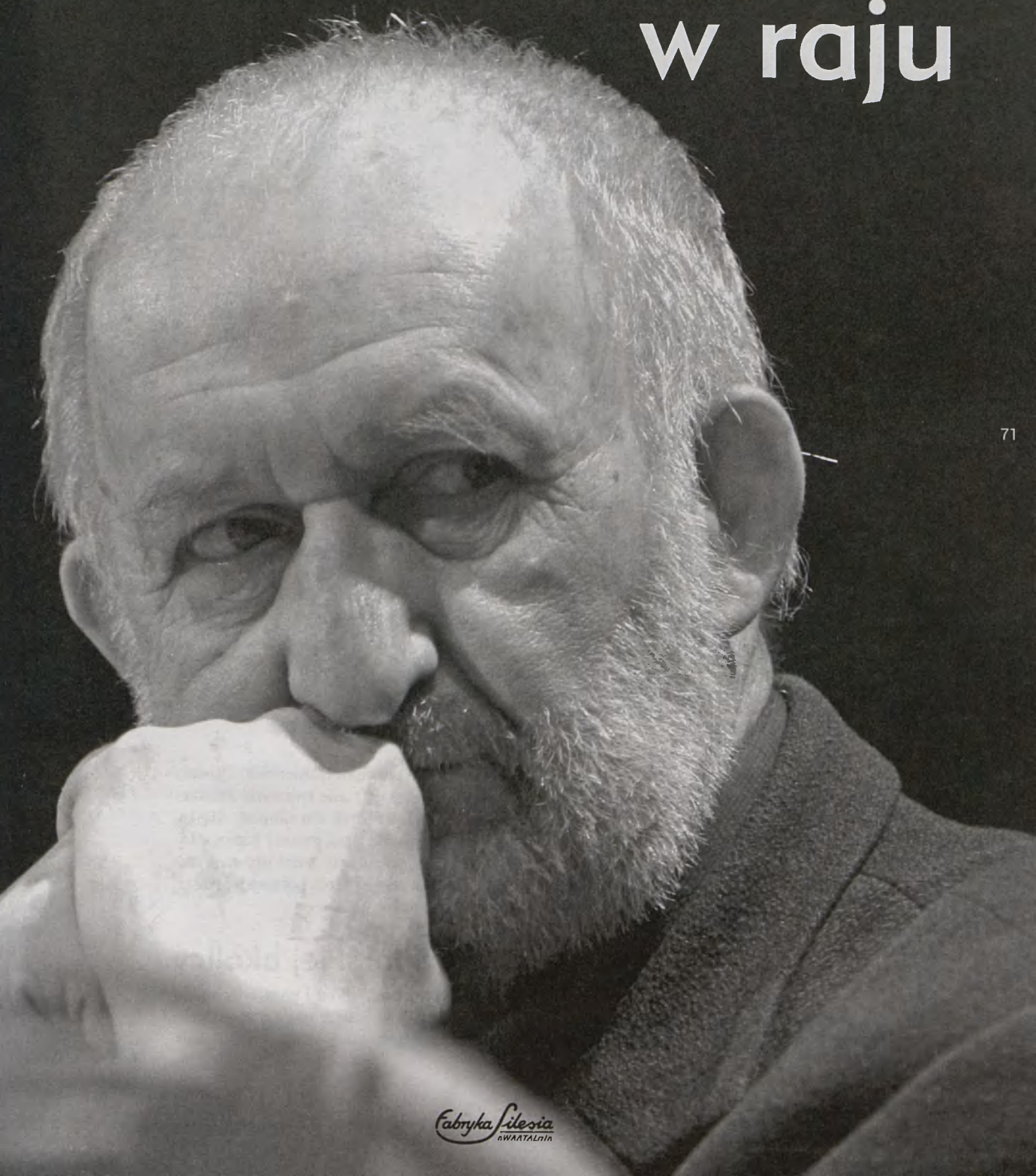
Las księgą jest jasności,
Najświętszych pełną słów
O prawdzie, o miłości;
Na dobro trwa tu łów.
Czytałem ją wytrwale,
Zdań prostych, prawych czar
Ukoił moje żale...
To leśnych stronic dar.

Lecz wnet opuszczę ciebie
I obcy pójde w dal,
O obcym, gorzkim chlebie
Na scenie życia... Żal.
Lecz pośród życia ogni
Twa płonie we mnie moc.
Samotność w blask pochodni
Przemienia. W jasność – noc.

Przekład: ks. Jerzy Szymik

Henryk Waniek

W Gaju jak w raju



71

Od biedy można to objechać w jeden dzień, jeśli większości miejsc, które nam staną na drodze, poświęcimy nie więcej niż kwadransik. I tym sposobem późnym wieczorem spożyjemy kolację w Katowicach, skąd wczesnym rankiem pojechaliśmy w stronę Gliwic i dalej. Może przez Rybnik byłoby rozsądniej, ale z powodów osobistych wolę Sośnicowice i Rudy.

Zresztą rozsądek nic tu nie ma do rzeczy, skoro w ciągu plus minus osiemnastu godzin chcemy przeprawić się przez kilka stuleci, zapisanych na tej trasie twardymi zgłoskami pomników, zabytków i historycznych wydarzeń, tak ważnych dla Górnego Śląska. Co więcej, nie byłoby tego Śląska wcale, gdyby korzystając z tak zwanej Bramy Morawskiej, właśnie tym szlakiem nie parła w kierunku północnym jakaś ożywcza siła. Historycy zgodnie twierdzą, że tędy przyszło chrześcijaństwo na teren późniejszej Polski. Morawska? Czy nie trafniej byłoby nazywać ją Bramą Śląską?

W podraciborskiej okolicy

Mniejsza o dobra materialne; te wszystkie bursztyny, monety, broń i wiedze technologiczne, które się przez tę Bramę przetoczyły. Mniejsza o wszystkie miasta, miasteczka i wsie, obok których przemkniemy. O nich pomyślimy przy innej okazji. Bo my, skoro

Opactwo cysterskie
w Rudach Raciborskich.

czas nagli, musimy się znaleźć czym prędzej w Raciborzu; w jednym z tych miast śląskich, po których w 1945 roku zostało nie więcej niż 20 proc. zabudowy. O tym mieście wiele się nasłuchałem, zanim – już jako czterdziestolatek – znalazłem się tam po raz pierwszy. Ale wcześniej nie zliczylbym snów, jakie miewałem, w których był miejscem zgoła fantastycznym. Co raz odnajdywałem tam jakiś skarb lub tajemnicę. A później jawą okazała się nie gorsza od snów.

Jednak nie będzie tutaj zbyt wiele o mieście, które mogło być owym Budorgis, wymienionym w *Geografii* Klaudiusza Ptolemeusza (147 rok naszej ery), a na pewno był Rathiborem u Galla Anonima w roku 1116, czyli prawie sto lat przed formalnym aktem założenia miasta na prawie flamandzkim. A przecież już wcześniej była to stolica księcia Piastowicza, Mieszka Płatonogiego. Lecz tym razem Racibórz będzie tylko punktem początkowym tej szybkiej wyprawy; pewnego kółeczka, które wraz z Tobą, Czytelniku, mam zamiar zatoczyć.

Nie będziemy się tu więc zatrzymywać, tylko zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara od razu pojedziemy do Bieńkowic, nieco na południowy wschód. Kilka lat temu byłem tam gościem w budynku dawnej fundacji St. Valentin, obecnie klubie mniejszości niemieckiej. Na jego poddaszu znajduje się muzeum zorganizowane siłami społeczników. Aż zaparło mi dech na widok tego, co tam zgromadzono. Znajdowane na okolicznych polach zabytki z górnego paleolitu (14 tys. lat p.n.e.) oraz epoki brązu (2200 lat p.n.e.), ceramika, rzemiosło, kultura ludowa. A to tylko zwykła wieś. Jedna z wielu w podraciborskiej okolicy. Nieporównywalna z żadną ze znanych mi wsi polskich. W Bieńkowicach można się poczuć, jakby to już było serce Europy. Tymczasem jednak zbliżamy się do granicy Czech. Bo jadąc dalej przez Tworków i Krzyżanowice, będziemy się kierować na Bohumin.

Lecz zanim tam dojedziemy, muszę wyznać pomyłkę, która mi się kiedyś zdarzyła w Tworkowie. Na widok malowniczych ruin tamtejszego pałacu ścisnęło mi się serce, choć do takich widoków na Śląsku już przywykłem. I jak zwykle, pomyślałem sobie o sowieckich i polskich szabrownikach, podpalaczach i barbarzyńcach. Aż ktoś mi uświadomił, że jednak się myłę. Bo nabywszy ten pałac od rodziny von Eichendorffów, hrabiowie Saurma-Jeltsch byli jego właścicielami do końca, to znaczy do roku 1931. I właśnie wtedy, w celu wyłudzenia odszkodowań, podpalono tę perłę pałacowego budownictwa. Stąd wniosek, że nie tylko Polacy, ale i Niemcy potrafią niszczyć pałace.

Ale jedźmy dalej, zostawiając na boku narodowe resentymenty. Ku Krzyżanowicom, gdzie również jest pałac. W tym konkretnym przypadku budowla jest w stanie nienagannym. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym podpalono ten tworkowski, pałac krzyżanowicki został sprzedany przez grafa von Lichnowsky'ego siostrze franciszkankom. I odtąd one prowadzą tutaj dom opieki. Jednak koniecznie trzeba dodać, że zanim się to stało, gościli w tych progach, w odstępie niemal 50 lat, Ludwig van Beethoven oraz Franciszek Liszt.

I tak przejedziemy jeszcze przez dwie lub trzy wsie, leżące wzdłuż lewego brzegu Odry, aż do miejsca, gdzie wpada doń Olza. Granica! To już Czechy. A mimo to ciągle jesteśmy na Śląsku. I zaraz wpadamy na wspólną autostradę A1, która może nas zaprowadzić do Ostrawy i Brna. Lecz nie dajmy się wciągnąć nawet do Bohumina. Inny jest plan naszej podróży. Skromniejszy. Będziemy poruszać się wyłącznie w historycznych granicach czeskiego Śląska, ale w jego bardziej zielonych rejonach.

Więc zaraz za Chałupkami, nie wjeżdżając do centrum Bohumina, jadąc wspomnianą autostradą, mając teraz Odrę po prawej stronie, kierujemy się w stronę Hlučína. Nie po to, by tam podziwiać rozległy

pas urządzeń obronnych. Miały one w roku 1938 osłonić Czechosłowację przed hitlerowskimi hordami, ale nie przydały się na nic. Więc i nas żadna tu twierdza nie zatrzyma, choć może warto by ją kiedyś zobaczyć. Ludzie miejscowi nazywają ten kraik Prajzsko i posługują się językiem laskim, o którym będzie jeszcze tu mowa. Nie ma też potrzeby rozwodzić się teraz nad dramatem ziemi hulczyńskiej, podobnym do tego górnośląskiego z czasów plebiscytu. Pędzimy dalej.

Do Děhylova, gdzie zjedziemy z autostrady w prawo na zachód, ulicą, która nazywa się Slezska. Jakżeby inaczej? Dalej, przez Dobroslavice, do miejscowości, która od dawna wabi mnie swoją nazwą. Háj ve Slezsku. Można to różnie tłumaczyć, ale po mojemu będzie to Gaj Śląski. I nie dlatego, że jadąc tam znaleźliśmy się na chwilę w czystym i jasnym lesie. Mówiąc Gaj, mam na myśli te Gaje, o których mówi się „święte”. Musiał tu być kiedyś taki gaj, po którym została jedynie nazwa. Przez Niemców zmieniona na niezbyt udane Chabuschau. Teraz są to oczywiście pola rozległe. Bo Czesi nie likwidowali pegeerów tak zapalczywie, jak to działo się u nas. Więc i rolnictwo nie przysparza problemów społecznych. Są tam oczywiście i lasy, i gaje, i malownicze meandry rzeki Opawy. Ale nagli nas czas, więc podarujmy sobie spacer.

Sarmaticus w krainie poezji

Do tego Haju-Gaju najlepiej byłoby przyjechać jednym z tych niewielkich pociągów, w których specjalizują się Czesi. Wtedy, opuszczając miejscową stację, znaleźlibyśmy się wprost na ulicy Bezručovej. To głęboki ukłon w stronę Petra Bezruča, który naprawdę nazywał się Vladimír Vašek. Zanim zmarł w wieku 90 lat (w roku 1958), Bezruč napisał i wydał niezliczoną ilość książek. Poezja i proza. W znakomitej większości dotyczące ziemi śląskiej. Były bardzo popularne nie tylko w Czechach. Przekładano je na wszystkie języki europejskie, z wyjątkiem niemieckiego i polskiego. A to dlatego, że optując za suwerennością ludu śląskiego, nie mógł się Bezruč powstrzymać przed akcentami antyniemieckimi. Oraz antypolskimi, na dodatek. Urodził się co prawda w pobliskiej Opawie, ale dzieciństwo, młodość, a potem wszystkie letnie sezony spędził w Haju na Slezsku, w gospodarstwie rodzinnym Vašków.

Z zazdrością czasem myślę, że literatura w języku polskim nie dała kogoś, kogo można by zestawić/porównać z Petrem Bezručem. A także z Ondřejem Lysohorským (a naprawdę Erwinem Gojem), królem czeskiej poezji, który nie wahał się do alfabetu czeskiego wprowadzić litery „l”. Bez niej, jego zdaniem, nie mogły obejść się wiersze, które pisał we wspomnianym już wcześniej języku laskim. Według niego posługują się nim Ślązacy i można go uznać za strefę graniczną między językiem polskim a czeskim. I w małym stopniu niemieckim. Rodzinny miejscem tego syna górnika był Frýdek-Místek. Ale po długim i burzliwym życiu zmarł w Bratysławie. Wielokrotnie nominowany do Nagrody Nobla. Bez dwóch zdań – poeta śląski.

Otóż w tym śląskim Gaju krzyżują się złożone sprawy tej krainy, niezależnie od tego, jakim językiem je wyrazimy – czeskim, polskim, niemieckim, laskim, czy innym lokalnym narzeczem. Sprawa, którą chcę teraz przedstawić, jest prawie nieznaną, a dość sensacyjną historią. Kiedyś zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Nie więcej niż jakieś dziesięć kilometrów stąd znajduje się miejscowość o nazwie Kravaře. Jadąc dalej w kierunku zachodnim, zaraz się tam znajdziemy. Dzisiaj jest to gmina bogata, rolniczo-przemysłowa. Nic tutaj nie przypomina XVII wieku, jeszcze sprzed pokoju westfalskiego, który zakończył wojnę trzydziestoletnią, zabójczą dla Śląska.



Okolice Raciborza.

Wtedy Kravaře były wsią nędzną i wyludnioną. Nabył ją za pół ceny pewien tajemniczy obieżyświat, znany pod pseudonimem Philosophus Sarmaticus, jako że urodził się gdzieś w Małopolsce. De facto jednak był poddanym króla Czech i emerytowanym dworzaninem cesarza Rudolfa II, a potem Ferdynanda II. Popularność swą zawdzięczał sukcesom na polu alchemii. Tak. Mam na myśli słynnego Michała Sędziwoja, którego Jan Matejko przedstawił wraz z królem Zygmuntem III, nad kociołkiem, w którym Sędziwój jakoby przemienił ołów w złoto. Ale w Polsce nie zaznał szczególnych łask ze strony królewskiej. Spodziewał się ich raczej w Pradze. Tutaj też długo czekał na dowody łaski. Aż w końcu dostał te Kravaře za psie pieniądze i tutaj spędził ostatnie lata swego życia. Został pochowany w Opawie, w nieistniejącym już dzisiaj kościele.

Zanim się więc z Kravařy, gdzie w miejscu niegdyś skromnego dworu Sędziwoja stoi dziś okazały pałacyk, udamy do tej stolicy czeskiego Śląska, czyli Opawy, wypada dodać jeszcze jedno. Bowiem córka tegoż alchemika wyszła za mąż za przybyłego z Turynii rotmistrza. Zatem przyjęła jego nazwisko – von Eichendorff. Tym samym zapoczątkowała dynastię rodu, który niebawem rozlał się szeroko po tej okolicy. Jej potomkiem będzie wybitny poeta niemieckiego romantyzmu, Joseph von Eichendorff. W ten sposób Philosophus Sarmaticus przyłożył się do rozkwitu poezji niemieckiej. I to na Śląsku. Czeskim – dodajmy.

O Opawie, do której w końcu musimy też dotrzeć, wypadałoby napisać osobną rozprawę, bo to niewątpliwa perła wśród miast. Jedna z ważniejszych metropolii Śląska. Ale tutaj już nie wystarczy nam miejsca, bo to temat na osobną okazję. Niech wystarczy, że pokazałem możliwość takiej przejażdżki, którą – dając już sobie więcej czasu – warto by odbyć staranniej. A tymczasem dzień zanurza się w zmierzchu i jeśli niebawem – bo to tylko kilka kroków – znajdziemy się znów w Raciborzu, to kolacja w Katowicach jeszcze tego samego wieczoru wydaje się całkiem realna. ■

Henryk Waniek

– pisarz, eseista, malarz, grafik



Artur Pałyga

Góry familijne

Przyjechałem w Beskid Niski. Do Czarnego na warsztaty. Już w Gorlicach czuć, że to zupełnie inny rodzaj świata niż Śląski, Żywiecki i Mały. Pusto jakoś. Ciemno. Staro. Stasiuk czeka w swoim samochodzie. Ma nas dowieźć w góry, do miejsca, gdzie odbywają się warsztaty. Standardowa gadka o tym, kto skąd jest.

1.

– Ja też z gór – mówię. – Z Bielska-Białej. Ale tam, skąd jestem, jest zupełnie inaczej – dodaję, patrząc za okno. Mijamy wioseczki, w których po kilka domów, drogowskazy z ruskimi nazwami. Ostatni sklep minęliśmy pięć kilometrów temu.

– Ja bym nie mógł żyć tam u was. Nie moje klimaty – mówi Stasiuk.

– Dlaczego?

– Za dużo ludzi. Strasznie macie gęsto w tych górach.

Potem w dzień jedziemy na górską wycieczkę terenówką. Przez błota, przez potoki, przez wymarłe wsie, przez młody las.

– Wszystkie te drzewa sadzili po wojnie, żeby zarosły te miejsca, żeby nie było śladu po łemkowskich wsiach – mówi Stasiuk.

Bezludno. Jakieś szczątki fundamentów domów, jakiś krzyż, który kiedyś stał za wsią, a teraz w środku lasu.

Z rzadka, z rzadziutka nieliczni turyści. Widać, że nastawieni na dłuższe wyprawy, z noclegami po drodze, nie że spacer na pół dnia. I stare domy w zamieszkanym wioskach. Niektóre bardzo stare, małe, jeszcze kryte strzechą.

Innego dnia spotykam na ścieżce ludzi z karabinami. Idą jeden po drugim, w odstępach pięciominutowych. Okazuje się, że to wojsko ma tutaj ćwiczenia. Myślę sobie, że u nas, w Beskidzie Śląskim, Żywieckim, Małym, nikt by sobie na to nie pozwolił. Zaraz jakaś matka z dzieckiem wystraszyłaby się, jacyś starsi państwo zadzwoniliby na policję, żeby aresztować wojsko.

Kiedy się przyjeżdża stamtąd, z Beskidu Niskiego, spod Gorlic, spod Czarnego z powrotem do domu, w Beskid Śląski, Żywiecki i Mały, to tak jakby się z dalekich gór wracało do cywilizacji, w gęstość miast i wsi z ich spaceriakami, z ładną i uporządkowaną, rozwiniętą siecią górskich szlaków i eleganckich schronisk.

Tam – dzikość serca, bezludne rejony, tu – niekończące się łańcuchy aut w każdy weekend, i wysiadający z tych aut tłum Ślązaków udających się z rodziną na górski spacer i obiad w schronisku.

Takie poczucie.

A ja jednak wolę tu mieszkać, a tam sobie od czasu do czasu w tę dzikość pojechać. Mieszczuch jestem. Mieszczuch z Beskidu Śląskiego.

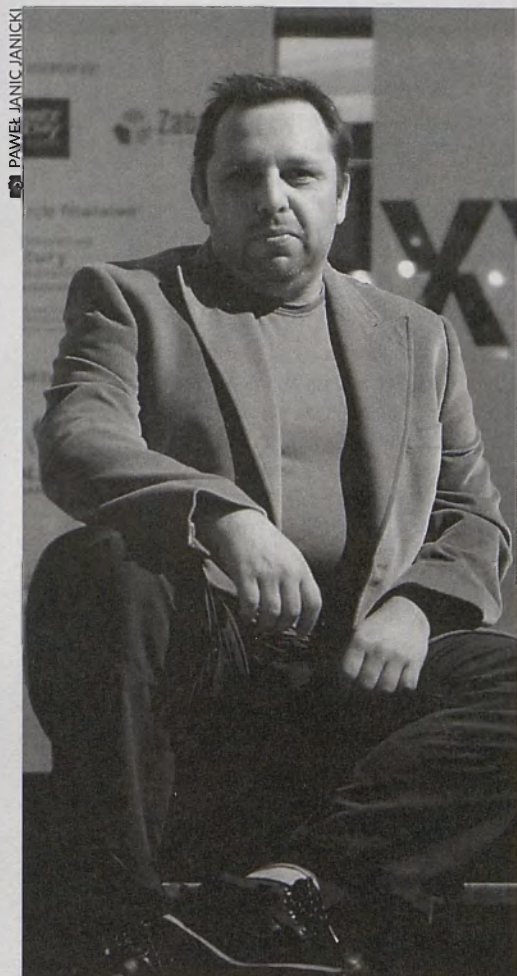
Przez lata przeszedłem te wszystkie górskie szlaki tutaj, niektóre raz, inne kilka, jeszcze inne kilkanaście razy. O różnych porach roku i różnych porach dnia i nocy. Nigdy nie byłem w miejscu, ani w sytuacji, w której nie miałbym poczucia, że w miarę szybko możemy dojść do jakichś domów, jakichś światła, a ostatecznie wezwać pomoc, która sprawnie zadziała. A zasięg jest wszędzie. I tak, lubię tę naszą oswojoną, udomowioną część Beskidu. Bo jej odmienność, jej wyjątkowość polega właśnie na jej udomowieniu.

2.

Mam siedem lat. Jedziemy z drugiego końca Polski, żeby zamieszkać w górach, w Bielsku-Białej. Boję się. No bo przecież wiadomo, że w górach mieszkają górale. A górale chodzą ubrani w kierpce, spodnie z lampasami i kapelusze, i noszą ciupagi. Wiem, bo widziałem w telewizji. Boję się, że będę wyglądał wśród nich jak dziwak w moich zwykłych łachach. I że się nie dogadam. Bo przecież górale mówią po góralsku. Podczas ostatniego programu świątecznego w telewizji, gdzie pokazywano górali, jak mówią o swoich wigilijnych zwyczajach, bardzo się starałem zrozumieć jak najwięcej, naprawdę bardzo się skupiałem, żeby wychwycić każde słowo i słabo mi szło i dlatego teraz siedziałem wystraszony. I jeszcze się bałem, że będę miał daleko do szkoły, przez góry. I że będę spotykał po drodze dzikie zwierzęta i co wtedy zrobić.

3.

– Tylko uważaj, bo wieje halny! – mówi mama, kiedy mi pakuje kanapkę do szkoły. Jestem podekscytowany. Nareszcie coś nieoswojonego, ciekawego w tych górach. Bo mieszkam



PAWEŁ JANICKI

“

**Z dzikich zwierząt
spotkałem tylko szczura
w piwnicy naszego bloku.
No więc może halny.
Idę, chwytam się latarni,
czekam na podmuch
o sile, która uniosłaby
mnie chociaż
na chwileczkę w górę. I już
wiem, że on nie nastąpi.**

w górach niewątpliwie. Widzę je co dzień za oknem mojego mieszkania. Chodzę po nich, bo miasto to góry i doliny, ale zalane asfaltem, zabudowane domami, sklepami, urzędami, przykryte płytkami chodnikowymi. Górski strumyczek szemrze obok przystanku autobusowego przy dwupasmowej drodze. Górską rzeką, która po ulewnych deszczach wzbiera i gna jak torpeda, przecina centrum miasta. Górale, nawet ci nieprzyjezdni, tylko z dziada pradziada mieszkający gdzieś na górskich zboczach w Bystrej, w Mesznej itd., tradycyjne stroje, jeśli je w ogóle mają, wkładają tylko od parady, pracują w zakładach pracy i mówią normalnie.

Z dzikich zwierząt spotkałem tylko szczura w piwnicy naszego bloku.

No więc może halny. Idę, chwytam się latarni, czekam na podmuch o sile, która uniosłaby mnie chociaż na chwileczkę w górę. I już wiem, że on nie nastąpi. Że halny też jest udomowiony, ucywilizowany. Dopiero wieczorem doceniam. Gasną światła. Halny zerwał prąd. Siedzimy przy świeczkach i patrzymy w ciemne, rozświetlone płomieniami świec okna bloku naprzeciwko. Wiatr duje w wywietrzniku. Na ulicy tańczą śmieci, nawet takie duże. Kolejny raz słycać sygnał karetki pogotowia. Góry w oknie wyglądają jak wielkie zwierzęta, przyczajone, skulone, oswojone, żyjące w zgodzie z ludźmi oraz z naszym blokiem. Czasem jednak muszą się poruszyć, muszą zrobić coś, co powoduje, że wieje od nich halny, tak jak pies musi czasem zawyć do księżycy.

Patrzę na te psie góry wyjące halnym wiatrem i nareszcie czuję, że tu jest inaczej.

4.

Chodzimy w góry co tydzień. Rodzinna wycieczka. Po kolei zaliczamy szlaki i spotykamy inne rodziny, które w kolejne niedziele zaliczają szlaki. Dzieci, które płaczą i nie chcą iść dalej. Dzieci, które krzyczą i śmieją się, bo się cieszą, że w schronisku coś się im kupi. Psy bez smyczy i na smyczy. Babcie z dziadkami, ciotki, wujkowie, grupy młodych z gitarami. Wszyscy tradycyjnie pozdrawiają się na szlaku: dzień dobry, dzień dobry. Pięćset pięćdziesiąt razy powiesz dzień dobry nieznajomym ludziom, zanim dojdiesz na szczyt. Takie to dzikie Beskidy.

Oczywiście są szlaki mniej uczęszczane, gdzie nawet przez pół godziny możesz nikogo nie spotkać. Nawet przez godzinę. Ale to już rzadko.

5.

Idziemy na wagary. Oczywiście w góry. Siedzimy na stoku w wysokiej trawie, mamy gitarę, śpiewamy piosenki, cały śpiewnik. Z góry patrzymy na miasto. Czujemy się wolni. Czujemy, że jesteśmy w miejscu, które jest przyjazne – nam, naszym nieudolnym śpiewom, naszym wagarom i naszemu miastu, które widać w dole.

6.

Z rodzicami w góry na piknik. Sobota lub niedziela. Bierzymy kocyk, kanapki, sławetne jajka na twardo i ogórki, herbatę w termosie. Na górze szukamy miejsca, żeby się rozłożyć z naszym kocykiem. Jest problem, bo przechodzimy, jak na plaży morskiej, między leżącymi, siedzącymi ludźmi. Gwar, śpiewy, butelki, kanapki, papierki, badminton, piłka, psy. Pół godziny chodzimy, żeby znaleźć kawałek wolnej góry, gdzie możemy zjeść przyniesione rzeczy.

7.

Czas wycieczek szkolnych. Całe klasy z paniami przewalają się po Beskidzie Śląskim, Żywieckim i Małym. Rozciągnięte maksymalnie. Jedni dochodzą już do schroniska, inni jeszcze u podnóży. Przepelnione schroniska. Wyglupy. Ktoś poszedł w odwiedzinę do kogoś do schroniska na sąsiednim szczycie i nie wrócił. Pani z jakimś rodzicem poszła go przyprowadzić. Pierwsze papierosy, alkohol. W nocy najpierw każde drzewo, każdy kamień jest czymś obcym. Potem ty jesteś czymś obcym.

8.

Jestem dziennikarzem. Kiedy mam dyżur, na mojej głowie jest czołówka, czyli materiał na górę pierwszej strony w gazecie. Jeżeli nikt jej nie napisze, ja ją muszę wymyślić. Stały numer, kiedy już nic innego nie ma, to wydzwanianie po schroniskach górskich i wysłuchiwanie narzekania, jak jest pusto, jak nie ma ludzi, jak kiedyś chodzili, a teraz nie chodzą, jak zanikają dobre obyczaje itp. itd. Jak dzwoni dziennikarz, to każdy się lubi pożalić, wiadomo, przecież nie będzie mówił, że jest dobrze, bo to dziennikarza nie ciekawi. A żeby był temat na czołówkę, to trzeba podkreślić, trochę podkolorować. Pustki w górach! Schroniska na krawędzi upadku! Ludzie zbiednieli i nie chodzą! Opustoszałe szlaki! Tak to weszło w krew, że potem już zlecali nam czołówki nie o tym, jak jest w górach, ale że jest pusto. – Zróbcie czołówkę o tym, jak opustoszało w Beskidach – mówili. I robiliśmy. A nazajutrz prulem z żoną, dzieckiem i psem na jeden ze szczytów, na który można wjechać samochodem, bo jest parking. I w tłumie ludzi zjadaliśmy schroniskowy obiad. Takie to dzikie Beskidy. Wracamy w ślimaczym tempie. Jak zwykle jest korek. Drogi na całej długości zatłoczone samochodami pełnymi ludzi, którzy wracają z tych pogoń opustoszałych gór.

9.

Są i dzikie zwierzęta. W końcu je spotkałem. Idę sobie chodnikiem z przystanku autobusowego do domu. Naprzeciw mnie idzie borsuk. Grzecznie idzie. Chodnikiem.

W Beskidzie Śląskim, Żywieckim, Małym dzikie zwierzęta są na tyle obyte, że chodzą chodnikiem. Duże zwierzę, ten borsuk. Świecą latarnie, jakiś samochód przejeżdża, dookoła domy, ogródki, a borsuk sobie idzie. Wszystkie jeże zamarły. Udują nieżywe. Borsuk na mój widok zmienia kierunek marszu i przechodzi pod płotem kogoś do ogrodu.

W nocy słyszę, że ktoś puka do bramy. Któż o tej porze? Jest około trzeciej. Może ktoś pijany. Wyglądam. To dziki! Przewróciły kosz na śmieci i ryją, waląc w metalową bramę. Te dziki spotkałem jeszcze potem parę razy. Całe stadko chodzi sobie tutaj uliczkami. Umieją grzecznie przechodzić przez ulicę. Sznureczkiem. Najpierw tata, potem stadko starszych i młodszych dzieciaków, a na końcu mama.

10.

Przeglądam listę beskidzkich szlaków, nazwy szczytów, schronisk. Szukam jakiegoś, o którym mógłbym napisać, że jest tam bezludnie i pusto. Ale kiedy już, już coś się rysuje, że może tam trochę mniej, trochę puściej, wtedy zawsze przychodzi mi na myśl Beskid Niski. Albo ten po ukraińskiej stronie, gdzie przez tydzień można nie spotkać człowieka, ani żadnego śladu jego obecności. Albo z drugiej strony, na zachodzie – Góry Orle, Sowie, okolice Olgi Tokarczuk. W porównaniu z nimi specyfiką naszych gór jest oswojenie, ucywilizowanie, zaludnienie, gęstość kontaktów ludzkich, szlaki, jak spacerniaki, milion razy mówienie dzień dobry po drodze, bogata sieć schronisk. To góry rodzinne. Góry dla rodzin z dziećmi. Góry dla ludzi, którzy lubią ludzi albo którym ludzie nie przeszkadzają. Te góry lubią ludzi. Nie ma powodów, żeby tę przyjaźń odrzucać. ■

Artur Pałyga

– dramaturg, publicysta

Z uśmiechu Boga

Mieszkańcy miast opuszczają swoje „króliczoki”
w śląskich blokach i jadą na wieś. Ma być jak na
obrazku: domek, ogródek, widoki, kawa na tarasie.
Cisza. Najpierw jest radość, potem wszystko,
co wiejskie, staje się gorsze niż wredny szef.

A wokół słychać: „skoś mnie, napraw, skop, odśnież, przywieź, odwieź”. Sąsiedzi patrzą, kto się leni, kto co ma. – Dom to drugi etat – mówi Marcin, który przeprowadził się do Gierałtovic, wsi pod Gliwicami. – Kawy na tarasie nie piję, bo za bardzo się denerwuję. Widoki mnie nie obchodzą.

Marcin, informatyk, zamierza znowu uciec, tyle że z powrotem. Ma poparcie żony, która pracuje w Gliwicach. Kiedyś wyśmiewał na forach lokatorów miejskich „klatek dla królików”, że siedzą w nich jak zabetonowani; sam tak siedział. Teraz się nie wypowiada. Marzy: wyprowadzi się do kamienicy z cieciami, który posprząta i odśnieży. Za rogiem dobra szkoła, kawiarnia, sklepy. Kupi garaż, teraz jeździ z żoną i z dziećmi na okrągło, a w mieście samochód postoi. W ogóle nie żał mu przyrody, drzewo za oknem wystarczy. Zamknie drzwi, wieś sobie obejrzy w telewizji.

Śladem Morcinka

Duże miasta województwa śląskiego opuściło od 2000 roku około 800 tys. osób; to prawie trzy razy tyle, ile liczą Katowice. 60 proc. z tej armii przeniosło się niedaleko, na podmiejską wieś albo w rejony Beskidu Śląskiego i Żywieckiego. To głównie młodzi ludzie z aspiracjami, kredytami i dziećmi. Zapracowani. Drugą grupą są starsi, przed emeryturą lub na niej, którzy już się czegoś dorobili. Tych drugich częściej można spotkać w Beskidach; najpierw mieli tutaj letnie daczki, z czasem domy przerabiają i zostają na stałe. Czarny, przemysłowy Śląsk wyludnia się od lat; ale w powiatach bielskim i cieszyńskim, na Zielonym Śląsku, mieszkańców przybywa.

Podział na Śląsk Czarny, Zielony i Biały wymyśla przed wojną mieszkaniec Skoczowa, Gustaw Morcinek. Pisze, że Beskidy stworzone są z uśmiechu Boga; tu czerpią siłę ci, którzy tracą chęć do życia. Góry mają moc oczyszczającą. Świat jest tutaj czysty, sprawiedliwy, a wsie mają coś z baśni, jak w jego opowieści o Janku Górnym: „Pagórki zachodziły na pagórki, coraz wyżej, coraz stromiej. Kosodrzewina krzaczyła się gęsto, skały, niby bajeczne smoki, wygrzewały się w słońcu. Polanki wyglądały jak łyse jeziora. Dopiero na dole samym wieś rozbiegała się chałupami”.



**Gustaw Morcinek pewnie
by się zdziwił, gdyby wiedział,
ilu ludzi w XXI wieku straci
chęć do życia w miastach
i poszuka jej w beskidzkich
wsiach.**

Morcinek pewnie by się zdziwił, gdyby wiedział, ilu ludzi w XXI wieku straci chęć do życia w miastach i poszuka jej w beskidzkich wsiach. Chętnie w jednej z najpiękniejszych, w Brennej. Jej polanki, te lyse jeziora wśród górskich lasów, zapełnią się ich domami, a każda z siedzib inna, jedna bogatsza od drugiej, czasem taka dziwna, że górali zatka, jak dom architekta Roberta Koniecznego. Pagórki obrosną nimi jak grzybami. Kto w nich mieszka, do końca nie wiadomo.

– Uchodźcy z miast biedni nie są, nie proszą o zasilki – mówi jeden z górali. – Wszystko nawet do nas przywożą, jak do zabitej wiochy. Im bogatsi, tym bardziej siedzą za ogrodzeniem, nie widać ich.

Miejscowi wypowiadają się o przybyszach ostrożnie. Tu od dawna wszystko zamyka się na klucz, a zwłaszcza buzię; żyj i daj żyć innym. Niektórzy nowi to szyszk i unikają rozgłosu. Statystyki jednak mówią, że od początków XXI wieku ponad 75 proc. nowych, zameldowanych w Brennej obywateli pochodzi z miast.

– Mieszkają, ale u nas podatków nie płacą – wypomina Krzysztof Majeran, sekretarz gminy i zastępca wójta Brennej. – Nie wiem dokładnie, ilu mamy tych mieszkańców z miast, bo nie wszyscy się meldują, chociaż korzystają z naszych inwestycji. A o integracji się nie wypowiadam, nie ma co chwalić. Korzyść na pewno jest taka, że miejscowi posprzedawali swoje działki, często bardzo niewygodnie położone. I to też zmieniło ich poziom życia. Ale co na tych działkach pobudowano, to wystarczy popatrzeć.

Beata Tyrna jest przewodnikiem beskidzkim. Przemierza góry tam i z powrotem. – Widzę, ile nowych domów powstaje, rozmaitych, nawet tam, gdzie trudno to sobie wyobrazić. Wciskają się wszędzie.

Wieś zapada w serce

Jerzy Wiśniewski, katowicki dziennikarz, kupił z żoną, współwłaścicielką klubu odnowy biologicznej, właśnie taką dziwną działkę w Brennej. Może góral nigdy by jej im nie sprzedał, gdyby nie pożar, który wypalił w lesie na zboczu sporą łysinę. Zbudowali tam dom.

– Cudowne miejsce, uzależniające, chociaż koniec świata, wszędzie daleko, wokół las – przyznaje Jerzy. – Odkąd mamy ten dom, nasz tydzień jest podzielony na dwie części. Jest praca, a od piątku prawdziwe życie, jedziemy do Brennej. Nawet pies szaleje z radości, gdy szykuje się wyjazd. Tam jesteśmy u siebie. Każda robota przy domu cieszy, nie wiedziałem, że coś takiego będę przeżywać.

Na początku chodziło tylko o wypoczynek, teraz biorą pod uwagę, że zamieszkają tam na stałe, na emeryturze. Chcą brać udział w życiu Brennej.

– Nie jesteśmy zameldowani, ale może będziemy, więc obchodzi nas, co dzieje się w gminie – mówi Jerzy. – Przybysze z miasta to cenny ferment dla każdej wsi. Chcą coś zmienić na lepsze, wiedzą, jak się za to zabrać. Kanalizacja, prąd, różne udogodnienia. Pół kilometra nowej traktacji elektrycznej to zasługa takich przybyszów jak ja. W końcu wieś zapada w serce, chce się dla niej jak najlepiej.

Dobrze o tym wie Rafał Marchlewicz, geograf z zawodu, który co prawda przyjechał do Brennej z Gdańska, ale jak mówi, może reprezentować wszystkich miastowych. Tak wsiąkł w wieś, że otrzymał tytuły „osobowości ziem górskich” i „współczesnego Kolberga”.

– W Brennej zakochałem się przypadkiem, ale na zawsze – opowiada. – Miałem tutaj praktyki studenckie. Potem chciałem wciąż wracać, ożeniłem się z brennianką Beatą i osiadłem na stałe. Mam dług wdzięczności wobec tej miejscowości, jestem nią zafascynowany. Jako ktoś z zewnątrz chyba wyraźniej dostrzegam jej wartość.

Na prezent ślubny dostali z Beatą kozy. Tak powstała „Kozia Zagroda”, gdzie pokazują, na czym polega tradycja pasterska beskidzkiej kultury, jak górale tu dawniej żyli, co jedli, jak się bawili, kim byli Walasi. Rafał sprawia wrażenie górala z krwi i kości. Ale innych miastowych nie tak łatwo wciągnąć w brenneńskie życie.

– Przyjechałam tu z Jastrzębia-Zdroju, wyszłam za mąż za miejscowego chłopaka, na razie nie pracuję, czekamy na dziecko – opowiada Anna. – Nie tęsknię za miastem, ale nie czuję się góralką, nie bardzo interesuję się folklorem. Mogłabym mieszkać z mężem gdzie indziej, również w jakimś mieście, mąż nie.

Nie przeszkadzają jej wiejskie wady; odległości, zamieranie życia zimą. Architekt Robert Konieczny zdaje sobie z nich sprawę. Wybudował w Brennej duży dom, ale nigdy nie myślał, żeby tu osiąść na stałe.

Daleko od szosy

– Nie wyobrażam sobie tego – przyznaje szczerze. – Wieś to odcięcie od zawodowych możliwości, bezpośrednich kontaktów z ludźmi, wydarzeń kulturalnych. Dla osób aktywnych rzecz nie do przyjęcia. Ale mój górski dom służy tylko do wypoczynku. Zresztą każdy, kto zobaczy, gdzie się znajduje, przyzna mi rację. Leży daleko od świata. Rozumiem, że może budzić różne opinie. Moja 8-letnia córka powiedziała mi jednak, że inne domy wydają jej się krzykliwe.

Dom ma kształt długiej arki, jest szary, betonowy, spoczywa jakby na odwróconym, spadzistym dachu. Duże płaszczyzny szkła. Brenna jeszcze takiego budynku na góskim zboczu nie widziała.

– Pan Konieczny przyjedzie i odjedzie, a góry z tym zostaną – mówi jeden z miejscowych. – Miastowi budują, co chcą, od razu poznać; nie jestem stąd, jestem kimś ho ho. Postawiłem bunkier, ale to lepsze niż wasza chałupa.

Dla architekta ascetyczna bryła domostwa jest wyrazem szacunku dla gór. Neutralny jak skała. Pokorny wobec piękna otoczenia.

– Jak pomieszka, to firaneczkę zawiesi, ściana winkiem zarośnie, ogródeczek, tuje przed wejściem i będzie. Długo taki osobny nie wytrzyma – uważa pani Hania, brennianka. Dobrze wie, że przybysze z czasem spuszczaają z tonu i chcą dograć się z miejscowymi, a choćby z sąsiadami. Miastowi stają się miejscowi. Inaczej nie da się żyć.

Pomieścić się jakoś będzie trzeba. Duże miasta województwa śląskiego tracą mieszkańców, najwięcej z obszaru między Katowicami i Gliwicami.

“

Spora część miejskiej ludności zamieszka w południowej części regionu. Ludzie zaczną bardziej doceniać lepsze warunki życia i wypoczynku, nawet kosztem odległości.

– Spora część miejskiej ludności zamieszka w południowej, atrakcyjnej części regionu – przewiduje prof. Jerzy Runge, kierownik Zakładu Geografii Społecznej Uniwersytetu Śląskiego. – Ludzie zaczną bardziej doceniać lepsze warunki życia i wypoczynku, nawet kosztem odległości. Kiedyś wielkim zaskoczeniem byli dla nas Japończycy z tyskiej fabryki silników, którzy nie chcieli mieszkać blisko pracy, w Tychach. Wybrali dojazdy do Krakowa, bo tam jest ładniej. Dzisiaj łatwiej nam to zrozumieć.

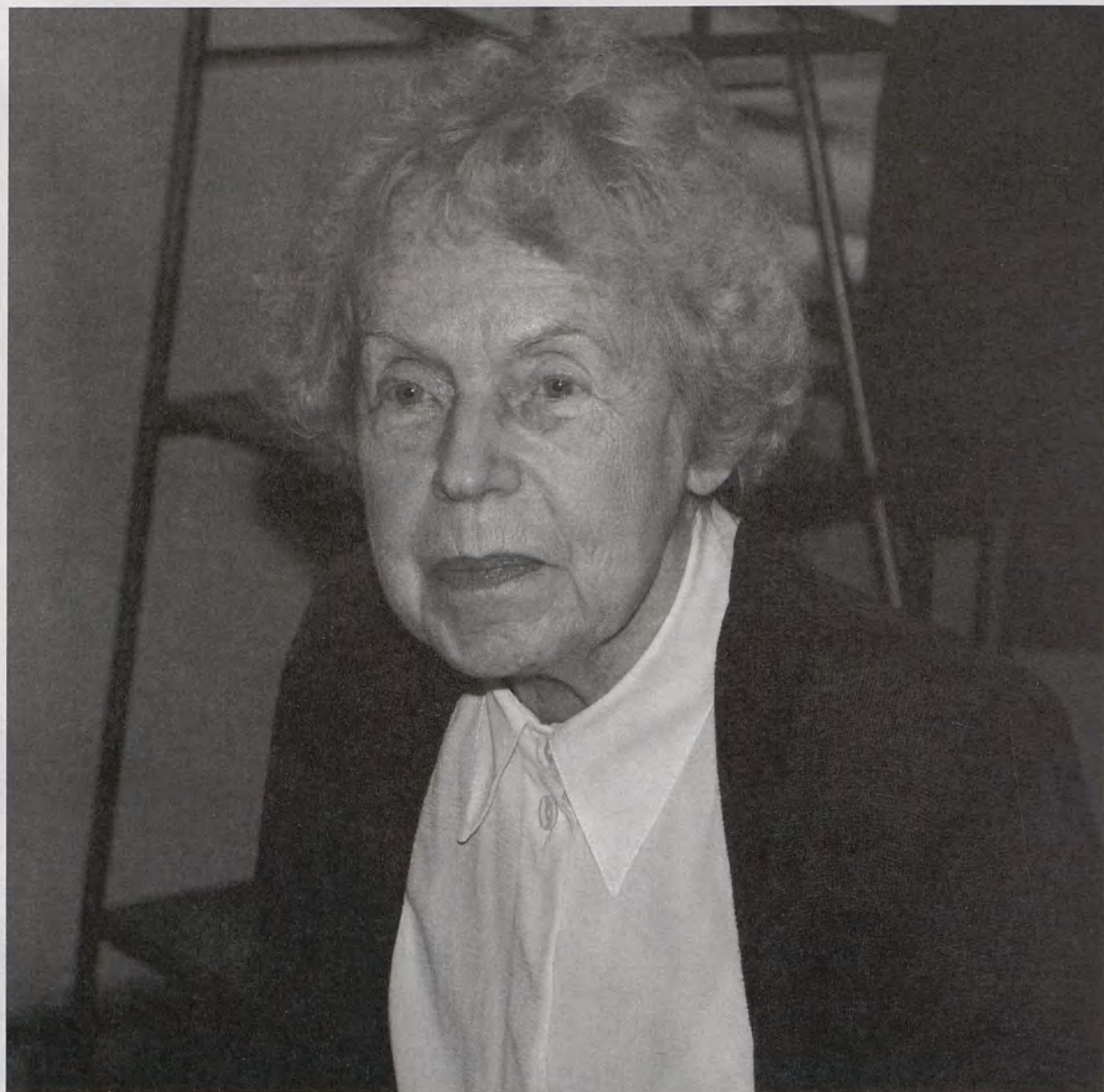
Marcin z Gierałtowic liczy jednak pieniądze. Sentymenty i piękno przyrody na razie muszą przegrać z ekonomią.

– Mnie się wieś nie opłaca. Mam dorastające dzieci, dojazdy wykańczają nas finansowo i czasowo – tłumaczy. – Koszary. Wszyscy wstajemy jak na komendę według tego dzieciaka, który musi być najwcześniej w szkole. Ja mogę być w pracy później, za to nigdy nie wiem, kiedy wyjdę. Potem czekamy na siebie na mieście, a i tak nie udaje nam się zebrać, są kłótnie, żale. Zaczyna się jazda tam i z powrotem. Synowie czują się uwięzieni w domu. Na komunikację podmiejską trudno liczyć, do niedawna był tylko PKS. Powinniśmy mieć ze trzy samochody, kogo na to stać?

Wieś to jego zdaniem opcja dla miastowych bez dzieci i na emeryturze, ale w dobrym zdrowiu, bo do lekarza daleko, a roboty wokół dużo. Przyroda? Marcin: – Dopiero jak muszę kosić widzę, jak ta trawa złośliwie rośnie w oczach. ■

Grażyna Kuźnik

– reportażystka, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”



Ewa Chojecka

Między miastem a wsią

Dzieje relacji pomiędzy budowlą tworzoną ręką i wyobraźnią ludzką a otaczającym ją krajobrazem – przestrzenią natury są pewnie tak długie jak dzieje wszelkiego budownictwa w ogóle. Ale nam nie o to chodzi. Próbujemy się zastanowić nad wzajemnymi uwarunkowaniami głębszej natury – tej symbolicznej i estetycznej, owego dialogu toczącego między budowlą i otaczającą przyrodą.

Chodzi nie tyle o aspekty czysto użytkowe: aby było praktycznie, zdrowo, ekonomicznie – choć to w pierwszym rzędzie było ważne. Człowiek, wznosząc gmachy, domy, pałace, wille, pragnął czegoś jeszcze. Zrozumiemy tedy Rzymian, którzy poza wielkimi miastami wznosili swoje wiejskie wille, którzy dbali o to, aby były należycie zakomponowane w otaczający je krajobraz. Wiemy, że w dobie imperium rzymskiego powstawały od wschodu po zachód, od Syrii do Brytanii, nie licząc samej Italii, niezliczone założenia tego rodzaju, zwane *villa rustica*, *villa suburbana* (willa wiejska, willa podmiejska). Wille cesarskie, jak ta Hadriana w Tivoli (do dziś częściowo zachowana) podobne były do pałaców, inne, jak ta Cyserona w Tusculum, zasłynęły jako miejsce dysput literacko-filozoficznych, owych *Tusculanae disputationes*. Do idei nawiązuje później w dobie renesansu XV i XVI wieku architektura włoska, gdy powstają wspaniałe założenia willowe otoczone ogrodami w rozległym pejzażu osadzone. Ten styl życia „między miastem a wsią” stał się od-tąd stałą komponentą cywilizacji europejskiej.

U źródeł Wisły

Dwa aspekty były przy tym istotne: najbliższe otoczenie willi i jej szeroki przestrzenny kontekst. Długo było tak, że to otoczenie najbliższe przybierało kształt założenia ogrodowego, gdzie natura uformowana zostaje ręką ludzką, poddana zostaje sztucznemu porządkowi alei i ścieżek, grządek, parterów kwiatowych, strzyżonych krzewów i drzew, słowem – geometryzacji. Taka forma jest w przyrodzie nieznaną, tu zaś rządzi niepodzielnie. Przyroda podporządkowana jest zatem woli i działaniu ludzkiemu.

Tymczasem nadchodzi epoka inaczej myślących i odczuwających, romantyczna. W XVIII-wiecznej Anglii narodziła się idea ogrodu naturalnie wyglądającego, malowniczo asymetrycznego, gdzie budowla staje się częścią krajobrazu, wtopiona wewnątrz bez intencji panowania, ale jako integralna jej komponenta. I tu zaczyna się przygoda z naszym

Zamkiem wiślańskim. Posunięto się tutaj jeszcze o krok dalej, czyniąc budowlę przyporządkowaną naturze, podległą jej dominacji.

Historia powstania Zamku jest znana, przypomnimy tylko kilka danych. Zamek Prezydenta II RP powstał na miejscu niewielkiego drewnianego zameczku myśliwskiego z 1907 roku arcyksięcia Fryderyka Habsburga, posadowionego w Beskidach na tak zwanym Zadnim Groniu, w pobliżu doliny ze źródłami Wisły. Zameczek ten spalił się w 1927 roku. Z pierwotnego założenia zachowała się jedynie drewniana kaplica. Wtedy to władze ówczesnego autonomicznego województwa śląskiego, na czele z wojewodą Michałem Grażyńskim, zdecydowały o wzniesieniu tutaj reprezentacyjnej budowli muryowanej według projektu Adolfa Szyszko-Bohusza, ówczesnego rektora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Budowa została ukończona z początkiem 1931 roku i posiada ciekawy kształt: na rzucie wygiętego łukiem 1/5 koła, składa się z części środkowej, poziomej, jednopiętrowej i dwóch flankujących masywnych, asymetrycznych bloków imitujących zamkowe wieże. Najważniejszym wnętrzem jest – co znamienne – usytuowana na parterze części środkowej rozległa weranda widokowa oraz wielki taras, skąd rozciąga się wspaniały widok na panoramę gór.

Stylistyka Zamku łączy w sobie dwa elementy: z jednej strony jest to modernistyczna aluzja do „zamkowości” – używamy tu niekiedy określenia *castellated style*, z drugiej budowla przywodzi na pamięć założenie dworkowe. Nadto wyczytać tu można echa dawnego barokowego myślenia o układzie między dziedzińcem a ogrodem (*entre cour et jardin*) – tyle że nie ma tu ani wielkiego dziedzińca (nie licząc skromnego podjazdu), ani tradycyjnego ogrodu. Całość posadowiona jest przecież w górach, na wspaniałym, nieco splantowanym stoku górskim. Zamiast ogrodu mamy naturalny las otaczający całe założenie i ową panoramę widokową na rozległą dolinę Czarne, przeciwległe wzniesienia i obraz masywu Baraniej Góry. Symboliczności przydaje tu fakt owego miejsca źródeł Wisły.

Symbol nowoczesności i otwarcia

Kontekstem przestrzennym, w jaki wpisany został wiślański Zamek, jest tedy panorama górskiej przyrody z jej pierwotnym pięknem, nietkniętą ręką ludzką. W tym aspekcie idea tradycyjnej „zamkowości”, obronności, ustępuje otwarciu, cywilności. Otwarcie na świat, naturę, wyrażone w kształcie przestrzennym Zamku, dystansuje się od tradycyjnego konceptu pałacu i dążenia do normatywnego podporządkowania sobie natury. Przyroda została tu potraktowana jako autentyczna wartość z góry dana, w którą wpisuje się człowiek bez nadmiernego ingerowania w jej substancję. Wyczuwamy tu postawę dążącą do integracji i współbrzmienia z naturą, nie zaś do dominacji. Przestrzenne zakomponowanie Zamku konsekwentnie zaciera wszystko to, co mogłoby służyć idei dystansu i odizolowania: cienka siatka opłocenia, ażurowa krata bramy wjazdowej, rozległe tarasy, przestrzenne okna tworzą aurę przystępności tak dalece, że ówczesni odpowiedzialni za bezpieczeństwo osoby prezydenta oficerowie skarżyli się na spore kłopoty praktyczne stąd wynikające.

Zamek wiślański – tak jak uformowany został w swym kontekście natury – należałoby rozważyć na tle pojęcia rezydencji, tak jak ukształtował je

wiek XIX i początki stulecia XX. Trudno w rzeczy samej utożsamiać Zamek z tradycją neosarmackiego ziemiańsko-szlacheckiego dworku, nie mówiąc już o feudalnej rezydencji czy formule siedzib wielkiej własności wielkoprzemysłowej, bankierskiej czy fabrykanckiej, znanej wszak na Górnym Śląsku w wielu znakomitych przykładach. Tu mamy do czynienia z nową jakością modelu rezydencji. Próbowałam go nazwać republikańsko-inteligentnym, tak znanym dla epoki Drugiej Rzeczypospolitej. Odniesieniem personalnym tej siedziby nie jest dziedziczny właściciel, lecz użytkownik z racji pełnionego urzędu głowy państwa. Odpada zatem aspekt prestiżu rodowego, dynastycznego.

W rzeczy samej formuła artystyczna Zamku wpisywała się w nurty formalne, które na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku kształtowały krajobraz województwa śląskiego. W jego obrębie mieszczą się kilka lat późniejsze sanatorium istebniańskie, budowle w centrum Wisły, inicjatywy budowlane Bielska, Cieszyna, wieżowce Katowic. Nie darmo województwo, wykazujące podówczas najwyższy standard życiowy w kraju, lansowało hasła o cywilizacyjnym postępie, ubrane w retorykę „amerykańskości”.

O jeszcze jednym aspekcie Zamku należałoby wspomnieć: obiekt był integralnie włączony

w rozległy program odkrywania kultury góralskiej Beskidu Śląskiego, inaczej profilowanego niż onegdajsze młodopolskie odkrywanie zakopiańszczyzny na przełomie XIX i XX wieku. Tu nie ma witkiewiczowskiej stylizacji. Pojmowanie relacji z naturą i przestrzenią krajobrazową idzie drogą bardziej nowoczesną. Doświadczali tego masowo pojawiający się turyści, zarazem zwiedzający na prawach gości muzealnych wnętrza Zamku.

Dzieło to szczęśliwie przetrwało do naszych czasów w stanie w miarę dobrym. Gruntowna konserwacja przeprowadzona w latach 2003-2005 w czasie kadencji prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego i z jego inicjatywy przywróciła obiekt do jego stanu pierwotnego, także w zakresie kontekstu przestrzeni krajobrazowej. Odtworzono w znacznym stopniu walory widokowe Zamku, dokonując przecinki w wysokim drzewostanie otaczającym rezydencję. Nowoczesna przygoda architektury i krajobrazu jest zatem dziś czytelna i przyswajalna dla wszystkich tu przybywających: zwiedzających, turystów, w końcu także zamieszkujących wnętrza tej niezwyklej budowli. ■

Ewa Chojecka

– profesor, przez 25 lat kierowała Zakładem Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego

“

Zamek w Wiśle był integralnie włączony w rozległy program odkrywania kultury góralskiej Beskidu Śląskiego, inaczej profilowany niż onegdajsze młodopolskie odkrywanie zakopiańszczyzny.





ZBIGNIEW KADŁUBEK

Jak Kanada

Leśne zmieniało się na Górnym Śląsku w agrarne, agrarne zmieniało się w industrialne. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż i tak wszystko istnieje w dalszych przemianach. I nic się nie kończy.

Nie ma znaczenia szernienie śląskiej zieloności, bo górnośląska źródłowość i zdrojowość ma ustawicznie świeży zielony kolor paproci. Jest to może paproć paleozoiczna. Jej kolor pozostaje ukryty pod ziemią i jest teraz węglem albo gazem, a więc go nie widać. Zresztą niczego, co górnośląskie, nie widać. Górnośląskie raczej mający, niżli jest widoczne i w tym tkwi niepokonana siła śląskości. Zresztą wcale nie jest oczywiste, że jeśli coś widzimy, to to naprawdę istnieje.

„Physis (tj. Natura) lubi się ukrywać”, mówił Heraklit z Efezu. To ten sam grecki filozof przyrody, który znany jest z powiedzenia *panta rhei* („wszystko płynie” – albo „wszystko stale zmienia się w coś innego”). Napisał jedno dzieło bez tytułu zachowane w ułamkach, które przez potomnych zostało zatytułowane *Peri phýseōs – O naturze*. O naturze jako dynamicznej energii wzrostu i życia całego świata i wszystkich organizmów, a także wszelkich relacji i reakcji zachodzących w świecie widzialnym i niewidzialnym.

Herakliteską *Physis* piszę z dużej litery z wielkiego szacunku dla wszelkiej bujnej dzikości oraz anarchicznego bytu. *Physis* jako greckie słowo opisuje proces stawania się nieprzerwanego i nie mówi tylko o tym, co po prostu widzimy. *Physis* nie oddaje jedynie tej natury, tej przyrody w sposób, jaki zwykliśmy ją sobie wyobrażać: że tu oto stoi las, że łąka rozciąga się barwnie, że płynie kręto rzeka, rośnie dąb. Otóż nie! *Physis* opisuje niezliczone, wiekiste procesy przemian powstawania życia, rodzenia się nieustannego świata, zanikania, umierania, rozkładu, giniecia i powstawania, metamorfoz biologicznych. *Physis* jest niebem i ziemią w niewyobrażalnym wprost ruchu, trawą rosnącą, ptakiem lecącym, człowiekiem oddychającym, rybą w toni, to znaczy szczupakiem połykającym płóć.

Physis sama jako taka jest źródłem. *Physis* można uznać za lukę albo szczelinę, przez którą przedostaje się życiodajne. *Physis* referuje byt w przepływanym, rozedrganym i pragnieniu nieprzewidywanym życia. *Physis* portretuje ożywiającą świat potęgę, która przyprowadza o zawrót głowy. *Physis* wreszcie oddaje górnośląską zieloność – i tę ukrytą pod ziemią z czasów paleozoicznych, i tę zieloność lasu szymocickiego, po którym chodzę jak we śnie, bo tak jest piękny i tyle mówi mi o mnie.

Utwierdza mnie w tym zresztą Ernst Jünger w książeczce *Der Waldgang*, gdzie pisze: „Wir sahen die große Erfahrung des Waldes in der Begegnung mit dem eigenen Ich. W wielkim doświadczeniu lasu upatrywa-
liśmy spotkania z własnym ja”. *Physis* zatem obrazuje las w Suminie i mnie w lesie, las w Górkach Śląskich, Nędzy, Rudach, a nawet tutaj, w Grabowni z pejzażem kominowym.

A także las, który już widać zaraz za Rybnikiem, przezierający las zza hałdy i szybu w Rydułtowach. Las potężniejszy od hałd, kominów, śmieci, śmierci, autostrad, betonu, asfaltu, parkingu, rybnickiego smogu. Las, który wchłonał odwieczność. A odwieczne jest zdrowe, potężne i atletyczne. *Physis* to coś, co zachęca do życia, gdyż źródło-
wo jest życiodajne. Zachęca do wegetacji, wędrówki, pasji i żarliwo-
ści, gdyż jest zdrojem: stanowi argument za polubieniem wzrastania. *Physis* rozpyla kolor zielony, czerwony i złoty.

Physis decyduje o sensie Górnego Śląska wyrażonego metaforą Ka-
nady. Posługujący się pseudonimem „Podróżującego Anglika” autor opisał pod koniec XVIII wieku Górny Śląsk (czyli gdzieś od Krapkowic na wschód) jako Kanadę. To znaczy kraj dziki, niecywilizowany, ciem-
nogród, prowincję zacofaną, zamieszkaną przez Tatarów i wszelkiego
rodzaju nomadów, ziemię jak najdalszą od postępowej, przemysłowej,
higienicznej, maszynowej Anglii. I chociaż miał to być w zamierze-
niu autora paszkwil, którym zresztą wyznaczył trajektorię toposów
postrzegania Górnego Śląska na co najmniej dwieście lat, wyszła prze-
dziwna pochwała górnośląskiej *Physis*.

Na Górnym Śląsku – według „Podróżującego Anglika” – życie toczy
się, nawet wśród ludzi, jak gdyby na poziomie zwierzęcym (*das ani-
malische Leben*). Ten tekst pokazuje, że z bujnością górnośląską żaden
przybysz źle do niej nastawiony raczej sobie nie poradzi. Że Górny
Śląsk w swej nieublaganej hotentockiej dziewiczości i nieokrzęsaności
obcego wyrzuci i nie dopuści do żadnej ze swych tajemnic źródeł.

„Podróżujący Anglik” potwierdził też jeszcze jedną istotną sprawę:
że głównym bohaterem śląskiej narracji jest przyroda. Że czci się tu
wszystko, co żyje, że dominującą wiarą jest panteizm oraz ciągle po-
twierdzanie solarnej konfesji. Dwóch autorów, już w czasach później-
szych, to znaczy po XVIII wieku, uwieczniło kanadyjskość Górnego
Śląska i zbliżyło się do górnośląskiej *Physis* na odległość pulsu krwi:
Joseph von Eichendorff i Szczepan Twardoch.

Eichendorff wciąż pisze o lasach raciborsko-rybnickich i daje się
górnośląskiej *Physis* zaczarować. Z drzeniem dotyka jej omszałego
Łona. Śpiewa Eichendorff: „Einst blüht’ von Gottes Odem / Die Welt
so wunderbar. Cudnie zakwitł kiedyś świat / Z Bożego tchnienia”.
Ten śląski świat wydostał się z Bożej piersi i z Łona pulsującej macicy
Physis. Taka lekcja Eichendorffa przekonuje.

A Szczepan Twardoch w *Drachu* mówi: „Ström a człek, a kamiyn
söm jedno. Der Baum und der Mensch sind ein und dasselbe. Pön-
bōczek je słońce, a słońce je Pönbōczkiym”. Tu ludzko-przyrodnicze
przymierze staje się czymś jeszcze poważniejszym i od razu boskim.
I jest odwróceniem się pogardliwym od politycznego świata. *Physis* nie
da się upaństwowić. U Twardocha *Physis* jest *Drachem*, podziemnym
duchem wzrostu i niepokonanej woli przetrwania. *Drach* i *Physis* są
koloru groszkowego. Groszkowy kolor Górnego Śląska jest jego wła-
snością wyższego rzędu. Groszkowy albo malachitowy, albo szmarag-
dowy, wszystko jedno jaki: zawsze *drachowy*, zdrojowy Górny Śląsk. ■



KRZYSZTOF KARWAT

BLISKO STĄD

Nie było nas, był las?

Trudno w tym miejscu to udowodnić, bo może żaden z tych liściastych olbrzymów nie pamięta Franza Wincklera, który na skraju podbytomskich Miechowic, w pobliżu kopalni galmanu Maria, kazał założyć pierwszy na Górnym Śląsku publiczny park.

Ale to nie jest pewne, bo kilka kilometrów dalej, na styku Bytomia i Zabrza, dendrolodzy wskazali na parę najstarszych drzew, uznając je za miejscowe pomniki przyrody. Mają około dwustu lat. Właściwie to się zgadza. Kto wie zatem, czy sędziwych buków z Góry Gryca (Grützberg) około roku 1850 nie posadzono jednak ręką człowieka – w bezpośrednim sąsiedztwie kopalni założonej przez Franciszka Aresina i Karola Godulę, pracującej tu już od ćwierć wieku i będącej jedną z największych i najbardziej wydajnych w ówczesnej Europie?

Może chodziło nie tylko o zdrowie miejscowych górników, ale także o zrekultywowanie terenu, na którym wcześniej stały wapieniki? Tak czy inaczej, to spore wzniesienie – zapewne wtedy jeszcze wyraźniej niż dziś dowodzące wyżynnego kształtu tej części Śląska – nie było zabudowane, a wokół roztaczały się sielsko-wiejskie obrazy, właściwie w lekko zniekształconej i zmniejszonej skali zachowane do dzisiaj. Jako nastolatek musiał w tym miejscu bywać późniejszy proboszcz bytomski i poeta, Norbert Bonczyk, bo jego dom rodzinny stał jakiś kilometr stąd, a jego ojciec był w tej kopalni sztygarem.

Franz Winckler zaś wzenił się w majątek miechowski i już po śmierci Goduli obdarował swych pracowników zieloną przestrzenią, która miała dać im trochę wytchnienia po pracy. Na Grützbergu mogli się też pomodlić, bo mniej więcej w tym samym czasie na jego szczycie stanęła, obecnie szczelnie osłonięta drzewami, kaplica pod wezwaniem – czy mogło być inaczej? – św. Barbary. Dziś jest to obiekt opuszczony i zapuszczony, zdesakralizowany. Szkoda, bo zaprojektował go ceniony berliński architekt Richard Lucae, ten sam, który jest autorem najstarszego murowanego kościoła katowickiego przy dzisiejszej ulicy Warszawskiej (niezmiennie pozostającego siedzibą tutejszej parafii ewangelickiej).

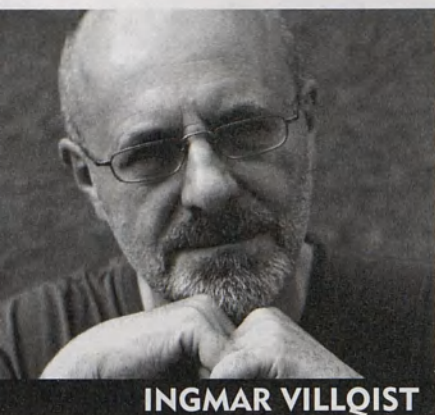
Park na Górze Gryca, po latach zaniedbań, poddawany jest zabiegom pielęgnacyjnym i porządkowym. Chyba jednak już nigdy nie będzie

pełnił funkcji rekreacyjnych w tej skali, jaka widoczna jest na zdjęciach z międzywojnia. Nie tylko dlatego, że w obecnym kształcie i rozmiarze raczej przypomina skwer, a nie duży park, w którym można by wytyczyć alejki i postawić ławeczki. Parę lat temu wzgórze zostało z jednego boku ścięte, bo przechodzi tędy obwodnica północna Bytomia, łącząc się w miejscu, gdzie stała kopalnia Maria, z poniemiecką autostradą z lat 30. Spory tu więc ruch samochodowy, który nie zachęca do spacerów, choć z przeciwległej strony jakiś prywatny inwestor na rozległej łące stworzył niewielką stadninę koni.

Opodal, na nieużytkach pokopalnianych, rozpościera się Brandka – duży, malowniczy staw, odwiedzany dziś tylko przez wędkarzy i kolonie ptactwa wszelakiego. Może kiedyś powstanie tu ogólnodostępny obszar rekreacyjny dla mieszkańców Bytomia i okolicznych miast? Na razie to nie tylko trudno dostępne siedlisko ryb, gadów i płazów, ale także drobnej zwierzyny. No, może nie takiej drobnej, skoro raz czy drugi musiałem w okolicach Gryca przepuszczać przed maską samochodu stado potężnych dzików z przychówkiem. Czy w czasach Winklera i Goduli polowano na nie? Nie ulega wątpliwości, choć wielu przedsiębiorcy zazdrośnie strzegli swych włości i byle kogo na nie nie wpuszczali. W lasach dochodzących do dawnego pałacu Domesa, Aresina i Wincklera, dziś znajdującego się w całkowitej ruinie, stała w latach międzywojennych elegancka knajpa, chętnie nawiedzana przez bytomskich i zabrzańskich mieszczan. W sali reprezentacyjnej na ścianach porozwieszano okazałe trofea łowieckie. Rzecz jasna nic po niej nie zostało, choć sam budynek się zachował. Zachowały się też strzępy turystycznej infrastruktury śródlądowej, fragmenty murowanych grobli, ocembrowania źródeł czy ślady po kolejce i tramwaju, dowożących niedzielnych gości z pobliskich miast i mniejszych miejscowości.

W niezłym stanie utrzymane są alejki i stary drzewostan, z rzadkimi i egzotycznymi okazami nieraz jeszcze sadzonymi przez inspektorów leśnych i ogrodników pracujących u Huberta von Tiele-Wincklera. Ten możny ród, choć wcześniej zdążył przenieść się do Mosznej, gdzie nie docierały przemysłowe pyły i dymy nie tylko z jego własnych hut, koksowni i kopalń, długo nie wypuszczał z ręki podbytomskich lasów. Dopiero w połowie lat 20. minionego stulecia dzierzawę przejęło miasto, tworząc tu rodzaj otwartego leśnego parku. Pozostał w niezłej kondycji także w latach powojennych, potem podupadł, ale w ostatnim czasie stworzono tu chronioną strefę przyrodniczo-krajobrazową, nazwaną Miechowicką Ostoją Leśną.

Zapewne nie poluje się tu już ani na dziki, ani na sarny czy jelenie, których okazałe poroża zdobiły paradną izbę leśnej Kreisschänke. Nie znaczy to jednak, że zwierzyny tu nie ma! W ostatnich latach wręcz się panoszy, więc na okolicznych drogach, zwłaszcza w godzinach nocnych, naprawdę trzeba uważać, bo dochodzi tu do licznych kolizji. Mnie na przykład pod kołami śmignęły dwa zwierzątka, których dotąd nigdy nie widziałem, a widzieć ich nie mogli także Tiele-Wincklerowie, gdyż za ich czasów nie było jeszcze Związku Radzieckiego, a w nim pomysłowych myśliwych i przyrodników, którzy na wschodnie rubieże imperium przenieśli tego przypominającego trochę psa, trochę lisa azjatyckiego ssaka. Tak, jenoty do nas też już dotarły, i to do miast, choć w przemysłowej części Górnego Śląska stawy, rzeczki i potoki były kiedyś obfitsze niż dzisiaj, a te osobliwe żywe pluszaki lubią zwłaszcza tereny podmokłe. ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

Czarne i zielone

Mój znajomy ze szkolnych czasów jest najprawdziwszym pilotem; ma swój prywatny samolot (pokazywał mi zdjęcie na ekranie swojego telefonu); mały, jaskrawoczerwony, z wielkimi literami wypisanymi na bokach kadłuba i skrzydłach.

Ostatni raz spotkałem go kilka lat temu na Wolności w Chorzowie; rozmawialiśmy chwilę; słuchałem co u niego, on co u mnie, patrzyłem na niego z ukrywanym podziwem jak na pół ptaka, pół herosa, który sięga kiedy zechce tam, gdzie ja nigdy nawet nie podskoczę. Każde nasze spotkanie, obowiązkowo, mój znajomy pilot kończy serdecznym zaproszeniem do odbycia lotu w jego wspaniałej, czerwonej maszynie. Gdyby nie mój lęk wysokości, na pewno pognałbym na muchowieckie lotnisko i z nim poleciał, ale nie polecę; powyobrażam sobie, jak to może być; pewnie to niezapomniane uczucie krążyć nad Śląskiem w słoneczny dzień, wśród chmur i rozwrzeszczanego ptactwa.

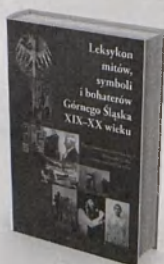
Ostatnio mój znajomy pilot już na odchodne powiedział do mnie, że za każdym razem, kiedy wzlatuje nad Katowice, a potem szybuje sobie tu i tam nad Śląskiem, nie może uwierzyć, że to jego Śląsk; bo pod nim tylko nieskończone morze zieleni, a jedynie tu i ówdzie z tej zieleni wychyla się jakiś zarys miasta, osiedla, ale, jak twierdzi, to wszystko, co materialne, wygląda z góry jakby resztkami sił się chciało przebić przez tę zieleń, bo zieleń w dole jest wszechobecna, absolutnie dominująca, by nie rzec władcza i zaborcza, bezwzględna w tłumieniu ukrytych pod nią i w niej wszelakich form. Podobno Śląsk wygląda z góry jak jakiś bezkresny ogród; tak intensywnie zielony, że aż trudno uwierzyć, iż kolor ten mieć może taką nieskończoność odcieni, walorów i temperatur. Rozlewa się ta zieloność po krzywiznę horyzontu i wydaje się, że nic nie jest jej w stanie powstrzymać; jakby się uparła, by zatrzeć wszelkie ślady obecności ludzkiej na tym śląskim skrawku ziemi; może swoją zielonością coś usprawiedliwia, tłumaczy, albo zmyślnie skrywa. Ale przed kim? Tylko ptaki patrzą każdego dnia na śląski ogród z tak wysoka, piloci, no i Pan Bóg, więc to chyba przed jego wzrokiem ten zielony kamuflaż.

Ależ to przewrotne. Inaczej przecież to wygląda z przestworzy, inaczej tu na ziemi; pomiędzy pniami drzew, krzewów, dzikich

krzaczysk, traw i wszelakiego innego zielska. Mówi się, że im bardziej poraniona ziemia, przeorana historią, ludzką chciwością, szaleństwem eksploracji, przesiana, przetarta milion razy przez sita owładniętych gorączką czarnego złota, metalicznych rud, tym piękniejsza zieleń ją pokrywa – potem już, później, po latach i dekadach, kiedy zgwałcona po stokroć i porzucona leży w odłogach, niby martwa, wykorzystana, uśpiona; nic z niej już wydobyć, wyrzeć się nie da, na nic przerobić; można co najwyżej usypywać z niej hałdy; wielkie jak góry mogiły szaleństwa przeszłości, kurhany na cześć politycznego obłędu kacyków przeszłych i obecnych. A jednak jakimś niewyobrażalnym sposobem ta śląska ziemia odradza się, szuka w sobie wstydliwie życia jak stara, pomarszczona kobieta; wsłuchuje w swych martwych już prawie trzewiach tętna płodu, roi sobie, wymyśla; kryje twarz, bo wstyd, ale dłoń czule kładzie na obwisłym brzuchu i czeka cierpliwie na jakiś znak, drgnienie, chce znów zakwitać jak wszystko, co żyje na ziemi, nawet ona; stara, brzydka, wykorzystana, spracowana do cna.

Szaleństwo? A może odwieczna nadzieja na ponowny cud życia, odradzania się? Ale to ludzkie sprawy, a ziemia? Może tylko czekać, nic zrobić nie może; bo i co; wspomina więc zaprzeszyły czas obfitości; bogactwa ziaren, które w jej ramionach rozkwitały nieprzeniknionymi puszczeniami, łąkami stubarwnymi. Swego bólu i wstydu nie chce pamiętać; grzebania, wiercenia, kopania, palenia, wytapiania, rycia w niej od naskórka po głębokie trzewia; śmierci swej i porzucenia też nie chce pamiętać; myśli tylko o tym, co dalej; jak każdy. Skąd brała ta ziemia siły i rozum, by znosić w sobie przez wieki wiercenie kilometrowych tuneli, rycie oskardów, tortury parowych potworów, palenie, skwierczenie. Któż by to wszystko zniósł bez skargi? Nie była bezbronna, o nie; walczyła zajadle, broniła się, zgniatała, wysysała w siebie, grzebała w swym wnętrzu intruzów, zapadała się z nagłą, eksplodowała; walczyła i była coraz groźniejsza; wymusiła szacunek i respekt, pochłaniała niezliczone ofiary, przez co stała się prawie religią dla tych, co szarpali ją nieustannie. Ale przegrała w końcu, jak każdy, kto bogactwa chce więzić tylko dla siebie, pozbawiona ich, wreszcie porzucona. Odeszli eksploratorzy; wyschły paleniska, wiatr rozwiął dymy, zasypano szyby i rozpadliny, bo nic z nich już cennego wykraść się dało. Leżała teraz ziemia porzucona, obolała, ale też i zadziwiona, że nikt jej już nie szarpie i nie zatruwa. Fantomowe bóle czuć już będzie zawsze; za dużo było tych ran i amputacji, ale świeżych ran nie czuła. Leżeć bez celu, to nie ziemi domena. Poleniuchowała w bezruchu jak człowiek po wielkim wysiłku, wreszcie przeciągnęła się, westchnęła, zaczerpnęła powietrza czystego, wystawiła się na słońce i rodzić poczęła, jak ta stara kobieta z łonem uśpionym, tak i ona – ziemia znowu poczuła, że może rozdawać życie; zazieleśniała się jak szalona, wszędzie pędy świeże pod słońce wystawiała, dwakroć zieleńsze, trzykroć wyższe, gęstsze i silniejsze. Wszystko nimi pokryła; starą, brzydką, chorą, pomarszczoną twarz upudrowała zielonym mchem, umiała się kolorowym kwieciami; wdzięczy się, uśmiecha bezradnie, błagając o zrozumienie, że i ona chce jeszcze pięknie wyglądać i dawać życie (tylko stare kobiety tak uśmiechać się potrafią).

Wpatruje się śląska ziemia w zielonej otulinie w niebo, w Pana Boga i mojego znajomego pilota w zwinnym, czerwonym samolocie kręcącym beczki nad katowickim Muchowcem. ■



Praca zbiorowa pod red. Bernarda Linka i Andrzeja Michalczyka

Leksykon mitów, symboli i bohaterów Górnego Śląska XIX-XX wieku

Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Opole 2015, s. 488



Przekład i komentarz: Leszek Jodliński

Dziennik księdza Franza Pawlara. Górny Śląsk w 1945 roku. Opis pewnego czasu

Silesia Progress, Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, Kotórz Mały, Opole 2015, s. 127



Jarosław Jot-Drużycki

Hospicjum Zaolzie

Wydawnictwo Beskidy, Wędrzyna 2015, s. 69



Michał Balsa, Grzegorz Grzegorek, Beata Witaszczyk

Domy i gmachy Katowic

Wydawnictwo Prasa i Książka Grzegorz Grzegorek. Wyd. 2 uzup., Katowice 2015, s. 288



Praca zbiorowa pod red. Tomasza Iwasiewa

Nasz Pawłów

Miejska Biblioteka Publiczna, Zabrze 2015, s. 221



Pod red. Waldemara Szymczyka

Banhof. Jednoaktówki po śląsku

Imago PR i Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów, Katowice 2015, s. 128



Bernard Linek

Polityka antypolska na Górnym Śląsku w latach 1945-1950

Państwowy Instytut Naukowy Instytut Śląski. Wyd. 2 popr., Opole 2014, s. 413



Marcin Wiatr

Literarischer Reiseführer Oberschlesien

Deutsches Kulturforum östliches Europa, Potsdam 2015, s. 450



Jerzy Ciurlak

Ich książęce wysokości. Część dolnośląska

Silesia Progress, Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, Kotórz Mały, Opole 2015, s. 227



August Scholtis (przekład: Alois Smolorz)

Wiatr od Wschodu. Śląska opowieść sowizdrzalska

Silesia Progress, Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej, Kotórz Mały, Payern Verlag, Altdorf Ndb. 2015, s. 439

PREZYDENT MIASTA RYBNIKA
ogłasza konkurs

Górnośląska Nagroda Literacka JULIUSZ

Kandydatury mogą zgłaszać:

- ▶ pełnoletni czytelnicy
- ▶ wydawnictwa
- ▶ osoby reprezentujące instytucje kultury oraz media o charakterze literackim
- ▶ członkowie Kapituły Nagrody.

**Autor „najlepszej książki napisanej
i wydanej po polsku w roku 2015”
otrzyma statuetkę Juliusza oraz nagrodę
w wysokości 40 tysięcy złotych**

Termin zgłaszania książek
upływa **23 lutego br.**

Regulamin: Biuro Kultury Urzędu Miasta Rybnika
(kultura@um.rybnik.pl; tel. (32) 43 92 000)
oraz na stronie www.bip.um.rybnik.eu



Regulamin konkursu



RYBNIK lat 20. i 30.

ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW MUZEUM W RYBNIKU

